№ 14. Warszawa, dnia 23 Marca (4 Kwietnia) 1885 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

ŚWIĘCONE, NA CZTERY RĘCE.

KOMPOZYCYA Z FINAŁEM MATRYMONIALNYM

ALEKSANDRA PÓŁKOZICA.

(Dokończenie.)

Na pierwszem piętrze, pan N. N. z rękami w kieszeniach i z głową zadartą w górę, ustrojony świątecznie, przechadzał się po swoim odświątecznionym apartamencie; łajał służących, gderał na żonę i dzieci, lub wreszcie zatrzymywał się co chwila przed stołem ubranym już w wystawę świąteczną.

— Jagulko! — zawołał nagle na żonę.—Po cóżeś u czorta, kazała poustawiać na stole te butelki z zielonym lakiem? Ho! ho! To zieleniaczek wytrawny, za który ja sam, jak Boga mego kocham, zapłaciłem po ośm złotych za flaszkę. Nie dostanie go każdy, kto tu wlezie, jak w groch przy drodze. Sprzątnąć mi zaraz te butelki i odstawić na bok, a natomiast dać inne, bez laku, te z deszczówką... Wino to za surowe może, ale damy je gościom pospolitym, krewnym dziurawym, no i subiektom.

— Powiadam pani mojej, że ta hałastra ma żołądki strusie, wszystko strawi. Zielonym lakiem ja sam częstować będę.

— Powiedz mi, mężu — rzekła, z twarzą z natury już, jakby zawsze zaspaną, pani Agnieszka— czy stróżowi i jego żonie mam dać jakie święcone?

— A to zkąd znowu? Kobieto! Zmiłuj się! Jak Boga mego kocham, chcesz mnie zrujnować chyba? Ja stróżowi płacę pensyą i drogo płacę kanalii. Dziesięć rubli na miesiąc... niech sobie zajada co chce, ale za swoje pieniądze.

— A służącym jakże? Ja myślałam dać z nich każdej po babce mniejszej i po placku, a także odkroić po kawałku z każdego mięsiwa. Bo oni będą mieli pewnie swoich gości na święta... Do kucharki, przyjdzie jej matka a do młodszej dwie małe jeszcze siostry. Czy pozwolisz im dać i tej... deszczówki także?

— Co! Co!! Jak mego Boga kocham! Jagulko, ty chcesz mnie puścić z torbami... Proszę cię bardzo, pohamuj swoją hojność magnacką... Żadnych zapasów nie dawać oddzielnie nikomu, bo kanalie rozczęstują je pomiędzy swoją hałastrę a sami potem z naszego stołu ćpać będą ukradkiem... Nie dawać nic, tylko każdej wydzielić zwykłą porcyą tego i owego... oczywiście z pośledniejszych potraw... Zamiast wina, o które tacy zresztą nie dbają, dasz im po butelce piwa... nadzwyczajnego; no i po kieliszku wódki, a chociażby i po dwa nawet. To mój towar własny.. Czego nie kupić tego nie żałować. Ale! — dodał, jakby przypomniawszy sobie coś nagle. — Czy prosiłaś na święcone pp. W.?

— A jakże! A jakże! Lecz odmówili oboje. Powiadają, że sami naspraszali do siebie wiele osób a mnóstwo też i nieproszonych, jak zwykle we święta przyjdzie. Ba! Ludzie bogaci, więc mają też przyjaciół wielu.

— A nas, czy nie zaprosili wzajem?

— Nic nie mówili, tylko pan W. dał mi przy okazyi komorne, za przyszły kwartał z góry.

— Sknery! Pyszałki! — Zawołał pan N. N. i uciął nagle, spostrzegłszy przechodzącego przez pokój subiekta.

— Taki łotr — pomruknął już tylko ścicha — gotów posłyszeć i wypaplać, a W. trzeba szanować, bo to lokatorowie solidarni, jak Boga mego kocham! Gotowi by mnie rzucić jeszcze...

. . . .

Tym czasem, owi „solidarni" lokatorowie nie zajmowali się w tej chwili panem N. N. zgoła.

I oni także oboje przechadzali się po odświeżonem mieszkaniu, przeglądając czy czego nie braknie jeszcze.

W inspekcyi tej pomagały rodzicom dwie, podrosłe już panienki, przystojne obiedwie i syn, student z czwartego kursu w uniwersytecie, przyszły doktor medycyny, który jednakże w tej chwili wcale nie higienicznie obchodził się z babkami

i mazurkami, wyłupiając z ich koron smaczne lursowskie konserwy i cukierki.

— Władziu! — ostrzegała matka. — Nie szpeć że mi tak ciasta. Jakże je tak pokażem gościom, oskubane?

— Gościom? A czy mameczka zaprosiła na święcone i państwa K. także?

— Prosiłam; mój chłopcze kochany, prosiłam, ale napróżno może...

— Dlaczego? — Zapytali, ojciec i syn razem.

— Bo pani K. oświadczyła mi, że już są zaproszeni do krewnych na obadwa święta. Może jednak wieczorem zwabimy ich jeszcze...

Władzio posmutniał widocznie a p. W. rzekł:

— Szkoda! Lubię tych ludzi i szanuję. Uczciwi i szlachetni, a chociaż ubodzy, znoszą swoje położenie z godnością i odwagą. Pracują wszyscy, jak mogą i pracują zdolnie. Nawet ta wątła ich córeczka, pomimo, że skończyła pensyą i ma wykształcenie wyższe, uczy się teraz rytownictwa na drzewie i podobno już wielkie zrobiła postępy.

— A jaka dobra — zawołały obiedwie panienki razem.

— A jaka śliczna! — dodał nieoględnie Władzio.

— Proszę! proszę! — ozwał się ojciec. — Jaki mi znawca! Ale niechno pan przyszły konsyljarz dobrodziej, zamiast analizować siedmnastoletnie panienki, pamięta pierwej o zdobyciu nauki potrzebnej dla przyszłych swoich pacyentów, jeżeli już koniecznie lekarzem mu się być zachciało...

To rzekłszy, pan W. spojrzał na żonę i oboje uśmiechnęli się do siebie, poglądając z pod oka na zmieszanego cokolwiek Władzia.

— Ale, powiedzże mi Wincenty — ozwał się p. W. — po co u Boga, kazałeś naznosić tyle ciast i mięsiwa? Wszak to znów przed chwilą przyniesiono z cukierni całe kosze bab, mazurów i placków, których już doprawdy nigdzie pomieścić nie mogę! Możebyś pozwolił...

I zatrzymała się uśmiechnięta, jakby nieśmiało.

— Aha! już rozumiem! — zawołał niby ironicznie pan Wincenty. Ta przedmowa o nadmiarze ciasta i mięsiwa, skończy się zapewne projektem, ażeby część tych niepotrzebnych zapasów, oddać komuś z faworytów jejmości... Naprzykład pani Janowej z pod strychu. Ho! ho! Znam ja się na tem dobrze...

— Właśnie też, chciałam cię prosić, ażebyś pozwolił posłać coś dla Janowej. Biedna kobieta zapracowana i uboga. Pewnie tam nie ma i kawałka ciasta dla dzieci. Mój Wincenty! przecież ty także rozdajesz wiele, chociaż się kryjesz, przedemną nawet... A widzisz, ja... nie mogę patrzeć spokojnie na dzieci nasze, tak obfitujące we wszystko z łaski Bożej i z twojej pracy, gdy sobie pomyślę, że tam siedzą z ziębnięte i głodne może dzieciaki Janowej, pod tym samym dachem.

— No, no, co mi tam jejmość prawisz! Niby to nie wiesz, że masz zupełne prawo rozporządzać wszystkiem, mną nawet, do kata! w twym domu. Poślij więc twojej Janowej co tam zechcesz a mnie głowy nie kłopocz. Tylko, jeżelić już dajesz im mięso i ciasto, to dajże i czemś popić także dla strawności... Twój synek, doktor przecie poświadczy, że zachorować mogą... Każ więc wziąć to wino z okna, no i flaszkę dobrej wódeczki... A jeżeli zobaczysz, że tam u nich bardzo kuso... to obstaluj kilka par bucików dla dzieci i... zapłać im z góry.

Przyszły doktor medycyny, który słyszał ten fragment z rozmowy rodziców, zbliżył się szybko do ojca i w milczeniu rękę jego do ust przycisnął.

— A ty znów czego chcesz odemnie? — zawołał pan Wincenty, ukrywając wzruszenie. — Pewnie, żebym państwu K. zabrał gwałtem córkę, na jutrzejszą tancerkę dla ciebie? Patrzaj go! No, no, zobaczę zresztą. Może i to się uda... Tylko mi się nie rozbecz teraz, ty... ty.. Joasiu jakaś!

To rzekłszy, rozśmiał się wesoło i wszedł do swego pokoju.

. . . .

Nazajutrz, gdy już odgłos dzwonów, głoszących chrześciańskiemu światu uroczystość wielką, zamilkł po kościołach, warszawianie zaczęli ucztować przy „święconych" stołach.

Jak tam gdzie obchodzono tę ucztę tradycyjną? Nie wiem, to pewna jednak, że w kamienicy pana N. N., obchodzono ją całkiem odmiennie, w każdym z czterech lokalów.

U samych gospodarstwa, hałasowano wiele i jedzono żarłocznie, a w braku dystyngowanych gości, którzy jakoś nie dopisali, subiekci pana dystylatora i ubodzy krewni, stojący najpierw skromnie po kącikach, wznosili coraz częściej i coraz śmielej toasty za zdrowie i szczęście najszanowniejszego pryncypała i obywatela...

Z początku, szła skromna „deszczówka"; później zaś, gdy rozcieplony ich pochlebstwami i ocałowany po ramionach i łokciach, amfitrjon, stał się hojniejszym, polał się i „zieleniaczek" nawet.

Jednakże ta uczta patryachalna, rozpoczęta podziałem święconego jajka zgody... zakończyła się burzliwie, albowiem podchmieleni już dobrze, niektórzy z krewnych, sangwinicy... poczęli wyrzucać jawnie panu N. N. jego nieużytość i samolubstwo, a subiekci znowu, korzystając z zamięszania, opakowywali kieszenie ciastami i winem, wynosząc się na miasto z tą niespodziewaną zdobyczą.

Skończyło się na wypchnięciu za drzwi krewnych i na wyłajaniu najpierw, nieobecnych subiektów, potem, obecnych sług i dzieci... a wreszcie w konkluzyi i sami małżonkowie N. N., skoczyli sobie do oczu.

U państwa W., wszystko poszło inaczej. Tam nie zabrakło gości.

Bawiono się serdecznie i wesoło, a echo tej wesołości odbijało się aż na trzeciem piętrze, w rodzinnem kółku biednego rzemieślnika, gdzie cały stół zastawiono suto, dzięki szczodrobliwości pani Wincentowej.

A i o jutrze także nie myślano z trwogą, gdyż w kuferku pani Janowej, spoczywały zamknięte trzy pięciorublowe papierki, a conto roboty dane.

Tylko w mieszkaniu biednego emeryta panowała cisza...

Służąca wyszła na dzień cały, za pozwoleniem państwa, poświętować sobie z rublem w kieszeni i z nadzieją dobrej, gratisowej wyżerki u krewnych i przyjaciół, a rodzice i córka, podzieliwszy się jajkiem i ucałowawszy się wzajem serdecznie, ze łzami i uśmiechem na przemian, spożyli swój ubogi posiłek, cichutko zamknąwszy drzwi na klucz pierwej...

Potem, wyszli na miasto i.. tułali się po ulicach...

Boć, tym dumnym biedakom wypadało już koniecznie wyjść z domu, niby na owe, proszone do krewnych, uczty wielkanocne...

Po trzech godzinach takiej męczącej tułaczki, wszyscy troje wrócili do domu smutni...

Dopiero po wczesnej herbacie, do której pani Katarzyna podała chleb z masłem, przeżegnawszy pierwej ten dar boży... rozjaśniły się twarze ubogich biesiadników, bo Joasia przyjmując ów chleb pobłogosławiony, zarzuciła ręce na szyję matki i na ramię ojca, wołając rzewnie:

— O! rozweselcie się wy, moi najdrożsi!... Rozjaśnij czoło, mój ojcze... A ty, biedna matko, uśmiechnij się do mnie szczerze, bo przysięgam przed Bogiem, że ten chleb prosty, z wami i obok was... smakuje mi lepiej, niż innym najdroższe potrawy.

Że „święconego na cztery ręce", spożytego jednocześnie prawie, w kamienicy pana N. N., to jedno może było prawdziwie „poświęcone"... łzami miłości rodzinnej!

Lecz... łzy na młodych oczach, osychają prędko! Nikt przynajmniej z gości zgromadzonych w tym samym dniu wieczorem, u państwa W., nawet sam baczny Władzio, nie poznał ślicznych oczu Joasi, ożywionych tańcem, a może i ognistemi spojrzeniami przyszłego doktora medycyny, że te biedne, modre oczęta, płakały tak rzewnie z rana.

Nazajutrz, po tej zabawie, oboje państwo K. siedzieli przy herbacie z twarzami pochmurzonemi nieco.

Joasia spała jeszcze, w sąsiednim pokoiku, po wczorajszym tańcu.

— Tak, moje dziecko — ozwał się pan Karol do żony. — Uważałem to dobrze i przekonany jestem, że się nie mylę. Dzieci kochają się, choć może jeszcze nie powiedzieli sobie tego wyraźnie.

— Ale...—rzekła nieśmiało pani Katarzyna. — Czy nie za czarno patrzysz na to wszystko, mój drogi? Joasia wprawdzie uboga, ale ma zdolności... Bierze już pensyą... A przecież znowu państwo W. nie są książętami i nie wiem dlaczego syn ich nie miałby ożenić się z Joasią.

— Dlatego — przerwał gor ko p. Karol—żeby nie powiedziano potem lub i przedtem... co pewniejsza jeszcze... że chcieliśmy, korzystając ze sposobności, ułowić sobie bogatego zięcia wbrew woli jego rodziców, którzy pewnie, jako ludzie zamożni i kupcy... mają dla swego Władzia, jakieś świetniejsze widoki. Nie!—zawołał, powstając.— Nie można, nie godzi się dopuszczać silniejszego rozwinięcia się tej skłonności, która mogłaby biedne dziecko nasze narazić na zawód bolesny, lub na upokorzenie... Trzeba póki czas jeszcze, przerwać to, a przedewszystwiem, wyprowadzić się ztąd jak najspieszniej.

Pani Katarzyna spuściła głowę na piersi a łza ciężka, łza matki, zmuszonej wyrzec się nadziei uszczęśliwienia córki, potoczyła się po jej twarzy.

— Tym czasem, moje dziecko — mówił dalej pan Karol. — Trzeba mi będzie pójść dziś do owego dyrektora z podziękowaniem.

W tej chwili weszła Wiktorya z kuchni i podając list rzekła:

— Przyniósł to jakiś człowiek i odszedł.

Pan Karol otworzył list, lecz zaraz po rzuceniu okiem na pierwsze wyrazy, zbladł i upadł na krzesło.

Pani Katarzyna pogrążona w smutku, nie spostrzegła wzruszenia męża.

List był następującej treści:

„Karolu mój drogi! Czy chcesz, zapomniawszy o wszystkiem złem, jakie ci wyrządziłem, przez

niesprawiedliwe uprzedzenie moje, podać mi rękę i uścisnąć jak brata?

„Jestem nieszczęśliwy, osamotniony zupełnie. A uczułem to dopiero od chwili, gdy onegdaj znajdując się pierwszy raz w zakładzie, w który włożyłem kapitał współkowy, spotkałem tam córkę twoją... Joasię.

„Nazwisko jej, wymówione przy mnie przypadkiem i imię twoje znalezione w księdze kantorowej, przekonały mnie, że się nie mylę.

„Później zaś, gdy spojrzałem na twarz tego dziecka... która mi przypomniała twoje, z młodszych lat rysy... uczułem, po biciu mego serca, że kocham was, że znalazłem rodzinę.

„Karolu drogi! Wierz mi, odkrycie to stokroć więcej mnie cieszy w tej chwili, niż majątek znaczny, którego się dorobiłem, a który nie przywrócił mi spokoju i szczęścia nie dał.

„Teraz... więcej go cenię, bo mniemam, że przyczyni się może do zapewnienia szczęścia Joasi.

„Wszak ona i tak, kiedyś, byłaby naturalną dziedziczką takiego jak ja samotnika.

„Niechże lepiej skorzysta z swych praw wcześniej, żeby stryjowi nie życzyła... śmierci.

„Bracie mój drogi! Czyliż serce mnie myli? Czy ty i twoi *wszyscy* odepchniecie mnie od siebie?

Julian."

— Co to jest? Boże mój! Co się stało! — zawołała pani Katarzyna, spostrzegłszy teraz dopiero łzy płynące po twarzy męża.

Pan Karol podał żonie list. A potem powstawszy nagle i biorąc kapelusz zawołał:

— Ale... gdzież on jest? Gdzie ja go znajdę... Mój Boże!...

Nie potrzebował jednak szukać daleko...

W tej chwili bowiem, we drzwiach pokoju ukazała się postać, z twarzą, którą poznał od razu... chociaż twarz ta drgała silnem wzruszeniem.

— Julianie!

— Karolu!

I dwaj bracia, rozdzieleni przez lat tyle, padli sobie w objęcia.

. . . .

Joasia nie słyszała okrzyków wzruszenia i radości. Nie słyszała nawet, jak stryj wymówił głośno jej imię.

Po wczorajszych wrażeniach, spała ona snem mocnym i tak samo, jak Władzio, którego dotąd nikt w domu budzić nawet nie śmiał.

Któż wie? Może oboje młodzi, mieli sen jednaki. Może marzyli, że ustrojeni godowo, klęczą obok siebie przy oświetlonym rzęsiście i kwiatami ubranym ołtarzu?

I czemużby sen taki, wyśnić się im nie miał?

Doprawdy! Ja przynajmniej żadnej nie widzę przeszkody...

CUDNY SEN.

Cudny sen mi niebiosa niedawno zesłały:
Świat zdobił swoje szaty wiosną nieśmiertelną,
Dokoła pól widnokrąg szerzył się wspaniały,
Co łączył niebo z ziemią w jedność nierozdzielną.

Przedemną aniołowie snuli się i ludzie:
Tak do siebie podobni sercami czystemi,
Że długo próbowałam w nadaremnym trudzie,
Rozróżnić synów nieba, od mieszkańców ziemi.

Tam miłość swoją władzę rozpostarła wszędzie:
Nie ta, co mknie piorunem i umiera z chwilką,
Lecz ta święta, spraw Bozkich odwieczne narzędzie:

Nikt bliźnich przykrem słowem nie kłuł niby szpilką,
Bo siebie najsurowiej karcili tam sędzie!
Zbudziłam się... Ah! szkoda, że to sen był tylko!...

Emilia.

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Przez kilka tygodni nie wyjeżdżał nigdzie, nie wychodził prawie z pokoju.

Wreszcie ocknął się z tego letargu. Powiedział sobie, że jeszcze mu wiele sił do życia pozostało, że żywcem zagrzebać się nie powinien i pierwszą odwiedził siostrę.

Powitano go serdecznie i on też innym był, aniżeli dawniej. Czuł, że zawinił w obec swoich najbliższych, chciał więc poprawić się.

Odtąd bywał u Włodzimierzów częściej, a nawet przyrzekł przybyć w dzień urodzin swego szwagra.

Dnia tego był u Chodeckich zjazd liczny.

W pierwszej chwili doznał Alfred przykrego uczucia; widok sąsiadów, którzy go zawiedli—naturalnie nie chciał się przyznać, że sam zawinił—przypomniał mu to wszystko, co stanowiło jedną z najciemniejszych chwil jego życia. Umiał wszakże panować nad sobą. Witał tedy znajomych grzecznie, jakby żadnej do nich nie czuł urazy, rozmawiał swobodnie i powoli ożywiał się.

Z całego zgromadzenia, jednego tylko sąsiada nie znał Alfred, temu więc przedstawił go szwagier.

Był to mężczyzna słuszny, siwiejący, o cerze świeżej i zdrowej. Twarz jego poważna, nosiła cechę szlachetności charakteru i dobroci. Nazywał się Milski; mieszkał w sąsiedztwie Chodeckich dopiero od pół roku, odziedziczywszy ładną wieś po dalekim krewnym. Znał on ojca Alfreda dawniej, bo chodzili razem do szkół i z lat tych wyniósł wspomnienia miłe.

To też zbliżył się do Alfreda z prawdziwą życzliwością i zawiązał ożywioną pogadankę.

Zagórskiemu podobał się pan Milski, chociaż był to człowiek nie uczony i nie światowy.

— Pozwoli pan — rzekł po dłuższej rozmowie pan Milski — że go moim kobietom przedstawię.

— Owszem, proszę.

Szedł, nie spodziewając się niczego nadzwyczajnego. Pewno zwykłe nasze poczciwe szlachcianki, myślał sobie.

Zatrzymali się przed dwiema kobietami, które zaraz zwróciły uwagę Alfreda. Starsza, poważna, ale dość jeszcze przystojna, żona Milskiego, musiała na każdym uczynić miłe wrażenie; młodsza, jej córka, panna dziewiętnastoletnia, była skończoną pięknością.

Twarz o rysach regularnych, pełna uśmiechu igrającego to po ustach, to w oczach, nawet około noska figlarnego; oczy szafirowe, czyste, jak niebo wiosenne, patrzały wesoło na świat i ludzi, jakby pogodę tylko w życiu spotykały. Nad czołem jasnem, białem, igrały jedwabne włosy, niby nici pajęcze. Chociaż siedziała, można było ocenić piękny jej wzrost i kibić smukłą — słowem całość to była skończona, którąby może nie mogła służyć za model rzeźbiarzowi, lecz poeta wprawiony w zachwyt jej widokiem, marzyłby noc całą przy księżycu i śpiewie słowika, muzyk patrząc w jej oczy, mógłby grać Szopena bez końca, lub z piersi snuć pieśń własną, piękną, a nieokreśloną.

A Alfred? — ukłonił się tylko, nie mówiąc i słowa.

Czyżby na nim nie zrobiła wrażenia?

Przeciwnie. Wrażenie jakiego doznał, było tak silne, że mu odjęło świadomość tych licznych frezesów salonowych, których mu nigdy w życiu nie brakło, począwszy od pierwszych debiutów w salonie ciotki Bilskiej.

Dopiero po chwili zaczął rozmawiać z panią Milską, potem zwrócił się do panny Zofii, ale mówił jakoś odmiennie, nie swoim zwykłym trybem. Gdyby się mógł był nad tem zastanowić, uczułby różnicę i byłby się zapytał, co ją spowodowało?

Nieśmiałość zjawiła się u niego istotnie po raz pierwszy.

A kiedy się puścił z panną Zofią w wir walca, zapomniał o świecie, o błyskotliwych salonach, o sobie nawet. Taniec go rozgrzewał, pobudzał krew do żywszego tentna, upajał. Tańczył więc bez końca, niepomny nawet na to, że jego tancerka była zmęczoną. Dopiero odprowadziwszy ją do krzesła, spostrzegł, jak była strudzoną, ale w tej chwili wydawała mu się jeszcze piękniejszą. Była silnie zarumienioną, oczy iskrzyły się, pierś podnosiła się szybko, przyspieszony oddech rozchylał koralowe usta.

Ten widok oczarował go zupełnie.

— Ah, przepraszam panią, tańczyłem za długo, proszę mi wybaczyć...

Uśmiechnęła się.

— Nic to, chwilowe tylko zmęczenie; lubię tańczyć...

— To jedno mnie uspokaja... a zarazem ośmiela do prośby o jeden jeszcze taniec.

— To niepodobna, mam wszystkie zajęte.

— Może chociaż jeden się znajdzie, może mazur?...

— Wszystkie mazury tańczę z moim narzeczonym.

Alfred zbladł i wielkiej siły potrzebował, ażeby nie wybuchnąć. Po chwili, spokojniej, stłumionym głosem zapytał:

— Wolno wiedzieć, kto jest tym szczęśliwym?

— Pan nie znasz mego narzeczonego? — mówiła uśmiechnięta — jest nim pan August Wilski...

— Aaa...

Spojrzała zdziwiona tonem, jakim te słowa wypowiedział.

Alfred ukłonił się i odszedł.

— Rywal i zwycięzca na dwóch polach — pomyślał.

Powrócił do domu złamany na nowo. Nie mógł o niczem myśleć, tylko o pięknej pannie Zofii.

Od dawna nie myślał o sobie i życiu swojem. Szedł naprzód nie oglądając się na nic i na niko-

go. Od śmierci żony i porażki na polu publicznem popadł w apatyą. Sił mu brakło do życia, jakie dawniej prowadził. Usunął się w zacisze wiejskie, nie, żeby szukał spokoju w ukryciu, wytchnienia po gorączce i burzach, lecz — dlatego jedynie, że nie znał w tej chwili żadnej innej lepszej drogi.

Żył jak automat, z dnia na dzień.

Towarzystwo siostry powoli go podnosiło, było niby promieniem, wlewającym ciepło w organizm skrzepły, zamierający. Ożywiał się o tyle, że powoli zacierał w pamięci fatalne dnie ubiegłe.

Było to gojenie się ran, lecz myśl nowa nie poruszyła go dotąd, nie odezwał się w nim głos żaden, któryby mówił: tędy droga twoja.

Siostra, nie uczona i mało ludzi znająca, zrozumiała brata, przeczuciem kochającego serca.

Rozumienie przez uczucie, to specyalny dar kobiet, to tajemnicza sprężyna, która je dźwiga od początku istnienia, a dźwiga nieraz bardzo wysoko. Kobieta życia i charakterów ludzkich nie studyuje naukowo; w ogóle uczy się mało, a nigdy systematycznie. Zbiera liczne kawałki wiedzy i instynktem je szereguje, układa w całość, przeczuciem wypełnia luki, z nieumiejętnego uczenia się powstałe — a jednak, pomimo tej niemetodycznej metody, dochodzi nieraz do świetnych rezultatów.

W odgadywaniu charakterów, w znajomości psychologii, przewyższa nieraz—naturalnie w praktyce — najuczeńszą naukę. Przeczuciem odgaduje *dziś* i widzi drogę do *jutra*.

Kobieta może nas wstrzymać nad brzegiem przepaści — tak samo, jak nas w nią wtrącić potrafi.

Brakiem serca, kobieta zabija — uczuciem wielkiem, prawdziwem, dźwiga, wraca życie.

Taka misya dostała się w udziale Helenie w obec znękanego Alfreda.

Powoli rozgrzewała go, delikatną dłonią, nieraz nie mówiąc słowa, usuwała gruzy przeszłości, które myśli jego i siłom tamowały drogę do przyszłości.

Przez pół uleczony, stał się zdolnym do życia. Stara katarakta spadła mu z oczu, serce oczyściło się z pleśni, krew rozpoczęła nową epokę czystego, spokojnego, prawidłowego obiegu.

Człowiek budził się w nim na nowo. Jak motyl w jedwabnej obsłonce zawiązku, poruszała się myśl — jedno spojrzenie kobiety przedarło obsłonkę — motyl wyleciał na świat, upił się światłem, lecz przejrzał, zyskał świadomość życia ze wszystkiemi jego pragnieniami i zdolnością odczuwania rozkoszy i bolów.

Zdawało się Alfredowi, że spadło mu z ramion ciężkie brzemię, które go dotąd przygniatało, zdawało mu się, że głos jakiś zbudził go do nowego życia — i zapomniawszy o przeszłości, począł myśleć o przyszłości.

Uczuł, że wiek go jeszcze nie złamał, że jeszcze mu dość sił pozostało do życia, że ma prawo od tego życia wymagać wiele.

Bo i cóż ono mu dało?

Jakże mało miał dni takich, które mógłby nazwać pięknymi, opromienionymi szczęściem. Szukał w pamięci, liczył skrupulatnie i przekonał się, że dotąd nie żył wcale.

Bo i kiedyż życie jego płynęło naturalnym, swobodnym prądem? W dzieciństwie i pierwszej młodości w domu rodzicielskim. Było to tu, w tym samym dworze, w pośród którego ścian dziś przebywał. Pamięć odżyła w nim jasno, silnie, jak nigdy dotąd. Widział wszystko co minęło i zapadł w smutek.

Matka... ojciec... straszne wspomnienia...

A potem życie, kipiące gwałtownie, podsycane sztucznym ogniem, który je wreszcie spalił zupełnie.

Nie, tego Alfred przypuścić nie mógł, ażeby za dawne winy, popełnione przez pół w nieświadomości, miał pokutować już od dziś — do końca życia. Przyznawał się sam przed sobą do grzechów dawnych, a to przecież powinno mu dopomódz do zwrócenia się na drogę lepszą, na drogę szczerej poprawy.

Odmieni się, będzie pracował uczciwie i wytrwale, byle miał przy sobie kogoś, ktoby go do tej pracy zachęcał, dodawał mu otuchy, krzepił wówczas, gdy jako nowicyusz strudzony przeciwnościami, mógłby popaść w zwątpienie.

O, gdyby znalazł taką istotę!

Miał przecież siostrę...

Tak, prawda; Helenka go kochała, ona go dźwignęła, jej wpływowi zawdzięczał dziś wszystko, całe odrodzenie się... A jednak... to mu nie wystarczało. Pragnął dziś właśnie czegoś więcej...

Odkąd ujrzał Zofię, zrodziło się w nim to pragnienie i z każdą chwilą rosło, potężniało.

Teraz w samotności rozmyślał i przekonywał się, że ta kobieta mogłaby go zbawić, mogłaby mu wrócić życie, uczynić zeń człowieka...

Albo był dotąd człowiekiem?

Ze smutkiem musiał sobie powiedzieć, że nie!

Smutny to, bardzo smutny obrachunek z przeszłością, który do takiego doprowadza rezultatu, a jednak Alfred nie ugiął się pod jego ciężarem, nie zwątpił w przyszłość, przeciwnie spodziewał się od niej więcej dobrego, aniżeli od przeszłości doświadczył. Zdawało mu się, że życie jest jego dłużnikiem i to dłużnikiem wypłacalnym. Miał nadzieję, chociaż...

Cała nadzieja Alfreda, była zbudowaną na... pragnieniu! Pragnął szczęścia i pragnienie to skupił około ślicznej postaci panny Zofii. Wzrokiem pochłonął jej obraz i zachował go w całej pełni piękna w duszy; pieścił się nim, rozkoszował, otaczał go całym światem... marzeń. Pragnienie gorące, szalone zbudziło go z długiego letargu i oślepiło. Przekroczył granice prawdy i rzeczywistości; marzenia brał za fakta spełnione — żył niemi.

Przypomniał sobie, co niegdyś czytał, czy słyszał, że prawdziwa miłość, miłość wzbudzić musi. To mu dodało otuchy, w tem czerpał siły do zwalczenia trudności.

Po nieprzespanej nocy, zmęczony, znękany był znowu i zupełnie inne myśli zajęły miejsce tamtych, pięknych, pełnych szczęścia.

Przeląkł się sytuacyi. Nie mógł znaleźć spokoju, wszędzie słyszał głos dźwięczny, miły, rozkoszny, a tak pełne naiwności słowa: „Pan nie znasz mego narzeczonego?" — odbierały mu przytomność.

Więc za późno spotkał na drodze swego życia kobietę, która go mogła uczynić szczęśliwym! Ona jest narzeczoną!

Dotąd kroczył po bezdrożu, dziś chciał wstąpić na drogę prostą, prawą... Głos jakiś wewnętrzny wołał: Za późno! Więc chyba znowu puścić się w świat, rzucić w odmęty życia, pić jego nektary, czy męty, póki siły pozwolą, a potem...

Przeląkł się tej przyszłości, sam nad sobą się litował. Zbliżenie się do Zofii, uważał za rzecz niemożliwą, może nawet niegodziwą... A jednak pragnienie szczęścia pierś mu rozpierało, wypalało ją, jak słońce podzwrotnikowe.

Myśli rozsadzały mu głowę. Był bezradnym, ale do siostry nie pojechał. Jedno pragnienie zaprzątnęło go—nie poszedł szukać rady tam, gdzieby ją może najpewniej znalazł. Chciał sam z sobą pozostać i rozmyślać, ażeby przecież rozwikłać ten węzeł.

Wśród takich rozmyślań spędził samotny kilka dni w domu. Wreszcie nie mógł dłużej wytrzymać. Pojechał do państwa Milskich.

Przyjęto go uprzejmie. Nawet panna Zofia, zdaje się zapomniała o owem dziwnem Aa! Również grzecznym był pan Wilski, którego tam zastał. Z tym wszakże przywitał się Zagórski zimno.

Zabawił krótko.

Nie mógł spokojnie usiedzieć, paliło go coś, musiał się powstrzymywać, ażeby nie wybuchnąć na Wilskiego, którego nienawidził.

Przejażdżki do państwa Milskich stały się częstszemi.

Nie mógł inaczej. Tłomaczył sam sobie, że nie powinien tego robić, ale to nic nie skutkowało. Coś go tam ciągnęło, nie miał siły do oparcia się pokusie.

Każda bytność u Milskich kosztowała go wiele. Ofiarą bywania u nich padał jego spokój, który co dnia bardziej chwiał się i groził upadkiem zupełnym.

Bywały chwile, w których Alfred popadał w głębokie zamyślenie, przechodzące w smutek i rozpacz wreszcie. Czuł burzę wewnętrzną, jakiej może nigdy nie doświadczał przedtem. Jakiś głos potężny wołał mu nad uchem:

— Narzeczona!

Czasem głosu tego lękał się, korzył się przed nim i powtarzał sobie: narzeczona! Nie masz tam szczęścia dla mnie, mówił sobie, więc nie powinienem go daremnie szukać. Po co szarpać się i walczyć i męczyć, kiedy to na nic się nie przyda. Po co targać się na cudzą własność?...

W chwili takiego rozmyślania spokojniał, lub popadał w głęboki, bezdenny smutek. Wtedy przesiadywał całe dnie w domu, z pokoju nawet nie wychodził; zamknięty w czterech ścianach zdawał się unikać światła słonecznego, nie chciał słyszeć głosu ludzkiego, od świata rad był uciec, bo świata dla niego nie było.

Najróżnorodniejsze myśli krążyły mu po głowie, nie starał się nawet o ich uporządkowanie. Z chaosu wybrnąć nie mógł, ale mu to było obojętnem. Przeszłość z teraźniejszością mięszały się razem, ani umiał, ani chciał je rozgraniczać. A co mu było po tem? Świat i życie były dlań zamknięte, skończone, a przyszłości nie miał żadnej, nie chciał jej mieć! Bo i po cóż? Jaką by ta przyszłość być mogła?

Czasem znów ból chwytał serce jego i mózg. Cierpiał strasznie i... płakał

Gdy mężczyzna płacze, to dowód znękania, złamania sił żywotnych, to pewnik, że przed sobą widzi tylko ciemnię nieprzejrzaną, pustkowie bez granic i końca.

Alfred nie zastanawiał się nad tem, płakał, bo mu ból łzy wyciskał, bo ich powstrzymać nie mógł. Serce zbolałe, puste, bez nadziei promiennej płakało w nim, łzy toczyły się po policzkach i cóż z tego? Bolu nie ukoiły, chmur czarnych nie przedarły, światła zbawienia nie wskazały. Słońce nie odbiło się w tych łzach tęczą nadziei i wiary.

Alfred nie wierzył, bo sił nie miał do obudzenia

w sobie wiary, bo brakło mu ich do dźwignięcia się i zniesienia tego, co los zdarzył, mężnie.

Płakał, bo mu się ukazała gwiazda promienna zbyt późno.

Ból straconego życia był straszny.

— Mógłbym być szczęśliwym, gdybym taką kobietę spotkał na drodze mego życia! O jakże bym był szczęśliwym! — mówił sam do siebie. — A dziś!? Wszystko przepadło, minęły te dnie promienne, kiedy życie stało przedemną, świat był otwarty, mogłem brać co mi się podobało. Wtedy panem życia byłem ja — dziś...

Przypominał sobie każde słowo panny Zofii, każdy jej ruch, każde spojrzenie i zdawało się, że tonął w złudnem marzeniu.

Były to wyjątkowo szczęśliwe dlań chwile. Ale jakże mało mógł ich naliczyć. Ileż za to było takich w których rozpacz go pożerała, chorobliwa gorączka trawiła życie, które zdawało się uciekać z każdym dniem.

To znowu bywało, że ten sam głos wewnętrzny mówił mu:

— Narzeczona!...

Ale jakimże odmiennym tonem! Głos to był zjadliwy, pełen szyderstwa i ironii gorzkiej, trującej, wlewającej namiętny jad do krwi, już i tak wzburzonej.

Wtedy, zmieniał się Alfred w mgnieniu oka. Zgnębienie opuszczało go, dawna buta wracała; jakaś siła ukryta popychała go do walki.

— I cóż z tego, że jest narzeczoną... innego!? — mówił sobie. — Co to może mnie obchodzić. Kocham ją i za serce, serca pragnę. Miałżebym go nie dostać? Cóż to, czym już tak postarzał, żebym nie potrafił odbić komuś panny, żebym nie potrafił wysadzić choćby narzeczonego?! Zkąd on ma być szczęśliwszym odemnie? Jakie prawo tak a nie inaczej nakazuje? I mnie należy się szczęście i ja mam do niego prawo, bom go dotąd nie zaznał ani dnia, ani godziny. Gdzież i kiedy byłem szczęśliwy?

Upijałem się namiętnością — ciągnął monolog dalej — szalałem, ale tego szczęściem nazwać nie można. To były tylko swawolne igraszki, a jam przecież takim człowiekiem jak inni, mnie takie same prawo powinno służyć, jak i jemu...

Zapominał o wszystkiem, o przeszłości i życiu z własnej woli takiem, a nie innem. Chciał poszukiwać praw, przez siebie wymyślonych, choćby miał popełnić — kradzież. Boć przecież kradzieżą tylko nazwać można było, jego starania się o miłość panny Zofii.

Nie czuł tego, nie rozumiał, szał go opanował; zrywał się i jechał do Milskich z usposobieniem szatańskiem. Piekło wiózł w piersiach.

Bawił zawsze krótko, wracał do domu w najgorszym humorze, postanawiał już więcej nie jechać i postanowienie łamał.

Jakaś pokusa wewnętrzna, zaczęła go podbudzać do szukania awantury z Wilskim, ale ten jej widocznie unikał. Spokojny z natury, wyrobiony w życiu na prawdziwego człowieka z charakterem, przeczuł co się w duszy i sercu Zagórskiego działo. Pragnął go usunąć, lecz nie miał na to sposobu. Czekał więc dnia ślubu, sądząc, że wówczas wszystko się skończy.

Tymczasem Alfred, palony gorączką miłości, która nim coraz silniej owładała, coraz częściej i ostrzej przemawiał się z Wilskim, tak, że ten w końcu oświadczył mu spokojnie i kategorycznie, że zwady sobie nie życzy, a powodu do niej nie rozumie.

— Ja to panu wprost wytłomaczę: kocham pannę Zofię!

— Moją narzeczonę?

— To mnie nic nie obchodzi.

— Pan się zapominasz.

— Wszystko mi jedno, jak pan to nazwiesz, mówię otwarcie i zapowiadam, że będę się starał o wzajemność...

— Przypominam panu raz jeszcze, że to moja narzeczona.

— A będzie moją!

Alfred tracił zupełnie przytomność. Kochał po raz pierwszy w życiu tak silnie. Grunt mu się z pod nóg usuwał na każdym kroku; do rozpaczy przywiedziony, nie wiedział co mówi. Zresztą może szukał umyślnie awantury.

— Proszę pana, ażeby to było ostatnie słowo w tym rodzaju — rzekł Wilski.

— Nie myślę ustępować, ustąp pan!

Wilski pomyślał chwilę.

— Przymusiłeś pan mnie — rzekł spokojnie, chociaż z połysku oczu widać było, co się w nim działo — ażebym skorzystał z praw, jakie mi przysługują. Proszę zatem, ażeby od dnia dzisiejszego noga pańska nie postała w domu rodziców *mojej narzeczonej*...

Alfred porwał się, jakby granat pękł mu pod nogami.

— Panie!

— To moje słowo ostatnie; zmusiłeś mnie pan do wypowiedzenia go.

— Odpowiesz mi pan za to.

— Tam, gdzie mam niezaprzeczone prawo, odpowiadać nie myślę.

Nieprzytomny już zupełnie, podniósł Alfred rękę. Wilski schwycił ją silnie, trzymał chwilę jak w żelaznych kleszczach i przez zęby wymówił:

— Precz!

Zagórski rzucił się w tył, oswobodził rękę, przyskoczył do swego rywala i drżącemi usty wymówił:

— Zabiję!

Oczy zabiegły mu krwią, szał z nich bił wyraźny.

— Przyślij pan sekundantów...

Upłynęło dni kilka, Wilski czekał, wreszcie sekundanci przybyli.

Ułożono się o warunki bez sporu. Tłomaczenia były zbyteczne, żadna ze stron powaśnionych nie myślała ustąpić.

Gdy Alfredowi zaproponowali sekundanci zgodę, skoczył ku nim gwałtownie.

— Ani słowa więcej, nie zniosę tego człowieka na świecie, zabić go muszę albo sam zginę!

— Czemże cię obraził, co zawinił? — pytali.

— Wam się wydaje, że do pojedynku stają tylko ludzie obrażeni! Takich możecie pogodzić przy kilku butelkach szampana. Pojedynek z powodu obrazy nie ma sensu, ale bić się muszą ludzie, którzy się nienawidzą.

— Ależ jaki ty masz powód do nienawiści?

— Nie pytajcie. Słowa są tu zbyteczne, bić się musimy.

Ani siostra, ani szwagier nie wiedzieli nic o pojedynku. Sekundanci uznali za stosowne trzymać tę wiadomość w tajemnicy.

Alfred naglił; pragnął krwi swego przeciwnika, lub własnej. Przyjaciele widzieli go zmienionym, nieprzytomnym, na wpół obłąkanym. Lękali się, aby pojedynek nie był istotnie wynikiem szaleństwa, lecz spokój i powaga Wilskiego, mogły im służyć za dostateczną rękojmię.

Nazajutrz rano, stanęli przeciwnicy oko w oko. Wilski był spokojny, trochę blady i milczący. Pozdrowił sekundantów, Alfredowi lekko się ukłonił i przez jedno mgnienie oka patrzał na niego. Zdawało się, że chciał coś powiedzieć, lecz nie wyrzekł ani słowa.

Alfred mienił się co chwila. Na bladych policzkach wypiekały się silne rumieńce; chwilami dreszcz go przenikał, ręce drżały. Ale wnet skupił w sobie siły, skrył głęboko walkę która nim miotała, ażeby jej nikt nie mógł dostrzedz.

Dano znak.

Padły równocześnie dwa strzały. Przeciwnicy stali nieruchomo naprzeciwko siebie.

Po chwili dopiero spostrzeżono wielką bladość na twarzy Wilskiego. Przez przedarty rękaw sączyła krew gorąca.

Przyjaciele pospieszyli z pomocą.

Alfred stał jeszcze czas jakiś, jakby nie wiedząc co robić. Sekundanci jego dali mu znak, ażeby jechał do domu.

Rana Wilskiego nie była niebezpieczną. Zagórski nie zapytał się nawet o to. Jemu wystarczał fakt, że dalej już bić się nie może. Sam wyszedł bez szwanku.

Towarzysze jego odwieźli go aż do domu.

Przed gankiem uścisnął im dłonie, podziękował tym uściskiem za przysługę, nie przemówił ani słowa i sam wszedł do dworu.

Pożegnani w taki sposób stali długo zdumieni.

— Pięknie się z nami obszedł — odezwał się jeden.

— Nie dziw się, to człowiek, któremu strasznie coś dolega; zdaje mi się, jakby miał zmysły pomięszane.

— Dziwny człowiek.

— Nieszczęśliwy, złamany, bodaj czy nie na zawsze.

— Szkoda go.

Nazajutrz dowiedziano się w okolicy o dwóch faktach spełnionych — o pojedynku i wyjeździe Alfreda.

Dokąd wyjechał nie wiedziano.

(*Dokończenie nastąpi.*)

WYSTAWA SPOŻYWCZO-GOSPODARCZA.

Warszawskie towarzystwo dobroczynności, od roku już obradowało nad urządzeniem wystawy, której z góry nadano nazwę „kucharskiej”. Był to pomysł bądź co bądź dobry i oryginalny. Niestety dobre chęci towarzystwa rozbiły się o opieszałość kucharzy i zbliżonych do nich producentów, którzy na grzeczne zaproszenia nie raczyli odpowiedzieć.

Towarzystwo ujrzało się zmuszonem urządzić wystawę, której nadano miano spożywczo-gospodarskiej, a która obok wielkiej elegancyi urządzenia, żadnej wybitnej cechy nie posiada. Wrażenie, jakiego się doznaje na wystawie jest bezwarunkowo przyjemne, tylko, iż nie wiadomo, jak ją właściwie określić i nazwać.

Znajduje się tu wszystko, czego kto zapragnie, tylko, mało rzeczy do spożywania i nie wiele takich, które do gospodarstwa w ścisłem tego słowa znaczeniu należą.

A jednak należy przyznać, iż cała wystawa ta-

ka jak jest, powstała tylko dzięki niezwykłej energii komitetu, który miał do walczenia z dziwną opieszałością wystawców (niektórzy dopiero w przeddzień otwarcia wystawy, zgłosili się z chęcią wzięcia udziału).

Przegląd zacznijmy od tego, co ma najbliższy związek z kuchnią, lub też rdzenną jej treść stanowi.

Na lewo, w ukryciu prawie, pomieściły się nasze tanie kuchnie. Za tę skromność pierwszeństwo im się należy, a chociaż wystawa tam wcale nie bogata i nie okazała, jednak z przyjemnością przypatrywaliśmy się prostej zastawie stołu i produktom, któremi tanie kuchnie swych gości żywią. Stolik ten wielce dla nas jest wymowny, bo przypomina nam dobrodziejstwo tanich kuchen, które żywią dobrze, zdrowo i niesłychanie tanio. Dzięki nizkim cenom, ubodzy uczniowie i studenci nie potrzebują o głodzie odbywać nauk.

Pan Reiner, właściciel restauracyi, wystąpił z wielką okazałością. Jego „święcone", pasztety krajowe, kapłony, indyki, kotlety etc. etc., wcale nie dwuznacznie przemawiają do widza, owszem zachęcają go gorąco do jadła — chociaż zkąd inąd wiadomo, iż restauracya pana R. nie liczy się w Warszawie bynajmniej do pierwszorzędnych. Ale cóż robić, kiedy inni panowie nie raczyli wziąć udziału w wystawie i pozwolili p. Reinerowi królować bez podziału.

Nie tak błyszczący, nie tak świetny jest stół pani Ćwierciakiewiczowej, będący okazem gustownej zastawy obiadowej na dwanaście osób. W pośrodku talerzy, widzimy dzieła p. Ć. o sztuce kucharskiej, dzieła znane z dobroci i popularności. O ile stół pani Ćwierciakiewiczowej ma wartość wskazówki, jak zastawa powinna wyglądać przed rozpoczęciem obiadu (a naturalnie, że nie co innego miała mistrzyni sztuki kucharskiej na myśli, dając próżne talerze i kieliszki), o tyle winniśmy zwrócić uwagę, iż filiżanki do czarnej kawy nigdy nie powinne być ustawiane na stole, lecz dopiero po skończeniu obiadu podają je na tacy. A zatem umieszczenie filiżanek na wystawie jest błędem, jeśli już nie grzechem ciężkim.

Likiery, wódki, konserwy i suszone owoce wyglądają bardzo pięknie — o wartości ich mogą wiedzieć tylko sędziowie i autorka tych dzieł pani Ćwierciakiewiczowa.

P. Krzymuski dał okazy 24 gatunków makaronu, własnego wyrobu; p. Bogucki świeże masło (4 gatunki); p. Krajewski piękne okazy warzywa, (rzecz na tego rodzaju wystawie bardzo ciekawa, stosowna i ważna); pan Hirschman ser „Gambrino", wyrabiany w Przeździatce; p. Nowicki konserwy z ryb, mięsa, owoców i jarzyn.

Dalej zasługują na uwagę wyroby p. Horodyńskiego, jako to: drożdże, musztarda, sosy, masła, konfitury, konserwy, soki i nalewki.

Trzynaście gatunków musztardy przedstawił pan Gleser, mający znaną w Warszawie fabrykę, która cieszy się wielkiem uznaniem i rozgłosem.

Musztardę i ocet wystawił również p. Artiur, którego wyroby nie ustępują innym krajowym.

Konserwy i konfitury, obok książek kucharskich, dała pani Szumlańska, a pani Rothwand kilka prób octu zdrowia.

Na uwagę zasługują konserwy z ryb p. Wojcickiego, który przedstawił konserwy ze śledzia i sardynek wyrabianych na sposób zagraniczny, co do dobroci i ceny istotnie zasługujące na rzetelne uznanie.

Konserwy z wędlin i w ogóle wyroby rzeźnicze, wystawił tylko pan Eberlein, który przedstawił również liczne narzędzia potrzebne do ich przygotowania.

Pan Stępkowski, właściciel renomowanego zakładu gastronomicznego, uznał za stosowne umieścić na wystawie spożywczo-gospodarskiej... cenniki i elegancko wykonane karty adresowe... A to na co? — pytamy. Wszakże zakład p. Stępkowskiego tak dobrze jest w Warszawie znany, iż tego rodzaju przypomnienie było chyba zbyteczne.

Ktoś, znający Warszawę, choćby tylko z opowiadania, nie uwierzyłby niezawodnie, że na obecnej wystawie spotykamy wyroby tylko dwóch cukierni! A jednak tak jest. Tylko panowie Zawistowski i Sztengel pamiętali o korzyściach, jakie przez ich udział odnosi wystawa i... oni sami.

Ogólną uwagę zwraca pomnik dla Mickiewicza, nader misternie wyrobiony z czekolady przez pana Zawistowskiego. Dokoło rozłożone są torty, czekoladki, cukry i ciasta, o których wartości jesteśmy przekonani.

P. Sztengel zajmuje się wyrobem biszkoptów i sucharków na wielką skalę. Te też wyroby przeważnie są reprezentowane na jego stole.

Wielka fabryka czekolady i biszkoptów p. Wedela, wystąpiła okazale na wystawie. Obok drobniejszych wyrobów, zwracają uwagę zwiedzających dwie pięknie wykonane figury z czekolady. Przedstawiają one królów Mieczysława i Bolesława, podług posągów będących w Poznaniu.

Obok wyrobów cukierniczych, zapisać należy okazy kunsztu piekarskiego. Wystawców tylko dwóch: panowie Kropiwnicki i Łapiński. Ten ostatni obok wyrobów gotowych, pokazał arcy ciekawy sposób przygotowywania ciasta na bułki i sucharki. Widzimy tu trzy doskonałe maszyny do dzielenia i krajania ciasta przy wyrobie t. z. kajzerek i sucharków.

P. Czyński, fabrykant pierników z Jarosławia w Galicyi, przyczynił się wielce do ożywienia wystawy i własnego handlu. Zwiedzający wystawę, zakupują jego pierniki w wielkiej ilości, czem dają wymowny dowód wartości wyrobów, od kilku lat głośnych i znanych nietylko w kraju, lecz nawet zagranicą.

Piwo reprezentowane jest przez kilka krajowych browarów, a mianowicie: Bönischa, Kijoka, Machlajda i Junga z Warszawy, oraz Długoborskiego z Czaplina (powiat Grojecki) i Stumpfa z Kielc. Naturalnie, że i reprezentant browaru akcyjnego w Pilznie (czeskim) nie zaniedbał dogodnej sposobności okazania wybornego nektaru Gambrynusa.

Okazy cukru w rozmaitych farmach dały fabryki: pp. Janasza (cukrownia „Józefów"); „Czersk" i „Michałów".

Najokazalej i najwystawniej przedstawiają się wyroby niespożywcze, a mianowicie szkło, porcelana, bielizna stołowa, srebro i t. d.

Wyroby srebrne i platerowane dali: Henneberg, Norblin i Fraget. Wystawa świetna. Szkło i porcelanę dał p. Hordliczka (wyroby czeskie, piękne, ale... nie krajowe).

Fabryka żyrardowska wystąpiła z bogatą wystawą bielizny stołowej, ułożonej gustownie i tak składnie, iż każdy okaz można bez dotknięcia się dokładnie obejrzeć.

P. Bieńkowski wystawił wyroby nożownicze; p. Feist szczotkarskie.

P. Kamiński i fabryka Nieborowska, przedstawili piękne majoliki; pp. Morgentaler i Otwinowski dwa przepyszne kredensy, stoły i krzesła, artystycznie wykonane.

Niezmiernie ciekawą jest kuchnia p. Bruna, z całkowitem urządzeniem. Niczego tam nie brak, jest nawet pralnia; wszystko lśniące czystością (...bo nie używane) aż miło patrzeć. Pomysł p. Bruna, acz kosztowny, uważamy za bardzo dobry i odpowiadający celowi wystawy. Mnóstwo ciekawych przypatruje się jego okazom.

Wyroby blacharskie cukiernicze i kuchenne, dali jeszcze pp. Loretz, Krynicki i Anderszewski.

P. Augustynowicz dał bogatą kolekcyę zegarów kuchennych; szkoła rzemiosł szafę do butelek, kozły żelazne do suszenia butelek, kosze i t. p.

Cygara liściowe fabryki Ehrenfrieda, nie mają konkurenta. Wódki reprezentowane nie licznie.

Sędziowie, wybrani do rozpoznania wartości produktów i okazów, nie szczędzili listów pochwalnych.

Listy klasy pierwszej otrzymali:

Pp. Reiner, Szumlańska, Sztengel, Lucyna Ćwierciakiewiczowa, Wrólewski, Krzymuski, Czyński, Zawistowski, Wedel, Firma Sznajder, Machlejd, Benisch, Kijok, Jung, Sztumpf, Lenartowicz, Glaser, Artiur, Wójcicki, Tanie kuchnie, Kropiwnicki, Łapiński, Eberlein, Handel win pod firmą Koch i Kułakowski, Ehrenfried, Brun, Anderszewski, Loretz, Krynicki, Norblin, Fraget, Hordliczka, Feist, hr. Skarbek i hr. Roniker, Bieńkowski, Mergentaler, Otwinowski, cukrownie: Guzów, Hermanów, Oryszew i Józefów.

Listy klasy drugiej otrzymali:

Pp. Klopfeld, Bogucki, Lewandowski za wodę sodową, Przedpełski za wódki, Browar w Czaplinie, Rotwand, hr. Duninowa za tanie wina kochatyńskie, Segalina za kefir, Moszkowski, Goldberg, Horodyńskie i Kamiński.

Oto w głównych zarysach obraz wystawy, urządzonej elegancko, (z wyjątkiem bufetu, który każe zapominać, iż rzecz dzieje się w Europie), ożywionej muzyką i tłumami publiczności. Dochód na rzecz Towarzystwa dobroczynności spodziewany jest znaczny — co stanowi najwyższą zaletę wystawy, gdyż fundusze dobroczynne bardzo potrzebują wzmocnienia.

Bogaty rezultat będzie najlepszą pochwałą pomysłu urządzenia wystawy i zachęci inicyatorów i publiczność do powtórzenia, chociażby w najbliższym roku. Mamy nadzieję, że w przyszłości jeszcze lepiej się powiedzie i że wystawców będzie więcej...

Nieobecni dziś chyba sami najwięcej stracili.

Ż pod naszej strzechy.

Sprawa pomnika Mickiewicza, pozostaje w zawieszeniu, aż do zgromadzenia się członków komitetu, które pierwotnie odbyć się miało 28 marca, wszakże odłożonem zostało i na pewno jeszcze nie wiadomo kiedy stanowczo zjazd nastąpi.

Aż do tego czasu uważamy za stosowne dać spokój całej tej sprawie. Powstrzymujemy się nawet od uwag nad protokółem *jury*, który nam nadesłano, a który bynajmniej nie osłabia zarzutów poprzednio przez nas wypowiedzianych.

Szereg pism naszych powiększył się o jedno, które wychodzi w Krakowie już od lat czterech, a obecnie uzyskało debit w Królestwie. Jest to „Przegląd literacki i artystyczny", wydawany i re-

dagowany przez Kazimierza Bartoszewicza. Pismo jest ruchliwe, bogate w treść beletrystyczną i literacko-krytyczną, a dział informacyjny, złożony z krótkich notatek obejmuje wszystko, co życie intelektualne u nas wydaje. Z początkiem b. r. zaczął Przegląd drukować opowiadanie Józefa Blizińskiego, studyum Choińskiego, nowellę tłomaczoną i nadzwyczaj ciekawe „Album polskie" J. I. Kraszewskiego. Prawdziwą perłą „Przeglądu" jest kronika, pisywana stale przez samego redaktora, jednego z najlepszych naszych humorystów.

Nowemu koledze na ciężkiej niwie publicystycznej życzymy powodzenia i uznania.

Z powodu braku miejsca, nie mogliśmy w ostatnim numerze wspomnieć o jubileuszu pierwszorzędnego naszego malarza, Józefa Brandta.

Uroczystość ta odbyła się w Monachium 18-go Marca. W pracowni artysty zgromadzili się koledzy, składając życzenia i piękne album, złożone z prac wielu naszych malarzy, kolegów i uczni jubilata.

Józef Brandt pracuje w zawodzie artystycznym od lat dwudziestu pięciu, zdobywając sobie krok za krokiem sławę, nie tylko u nas, lecz zagranicą, gdzie stale przebywa. On to obok Matejki i Siemiradzkiego wyrobił naszemu malarstwu imię zagranicą, jemu zawdzięczamy, obok tamtych, iż nas poznano i nauczono się cenić.

Temata do swych obrazów czerpie Brandt zawsze prawie z naszej historycznej przeszłości, którą głęboko odczuwa i rozumie doskonale. W malarstwie reprezentuje Brandt ten kierunek, którego panem w literaturze był Bohdan Zaleski. Steppy bez granic i dusze swobodne, hulaszcze czasem, pełne dzikiej poezyi i fantazyi — oto dziedzina Brandta.

Jak go zagranicą cenią, wyrozumieć najlepiej można z faktu iż przeważna część dzieł Brandta tam została zakupiona.

To też do uczczenia znakomitego malarza przyłączyli się i artyści zagraniczni, którzy od dawna cenią talent i działalność Brandta.

Nasi artyści, literaci, redaktorowie i miłośnicy sztuk pięknych, którzy z powodu zajęć i obowiązków nie mogli pospieszyć do Monachium, bodaj listownie lub telegraficznie wzięli udział w uroczystości jubileuszowej. Drut telegraficzny pomiędzy Warszawą a Monachium dnia tego był w ciągłym ruchu, a dnia następnego formalna nawalnica depesz spadła na linię Warszawa-Magdeburg.

O imieninach J. I. Kraszewskiego pamiętają u nas wszyscy jego znajomi, a nawet nieznajomi koledzy po piórze, wielbiciele literatury i wszyscy ci, którzy umieją ocenić niespożytą działalność literacką, tego najpłodniejszego i najwytrwalszego pracownika.

W bieżącym roku może nawet więcej gratulacyjnych telegramów otrzymał Kraszewski, aniżeli kiedy indziej.

Zresztą w Warszawie nie wiele nowości.

Spożyliśmy wystawę spożywczo-gospodarską, zbieramy pieniądze na ubogich, słuchamy koncertów, oglądamy obrazy, mówimy o pogodzie i wyczekujemy dni jasnych, ciepłych, słonecznych.

Na scenie zapanowała cisza. Ostatnie dnie wielkiego tygodnia, przeznaczone są według dawnego zwyczaju na rozmyślania o znikomości tego świata, o marności sławy i... posłannictwie sztuki. Dla artystów jest to jedyna pora wypoczynku.

My w rozmyślaniach tych wspominamy jeszcze czeskiego gościa, piękną Marzenkę Pospieszilównę, która pożegnała nas przedstawieniem, złożonem z aktu „Fru-Fru", aktu „Fausta" i aktu „Marion Delorme".

Kwiaty i oklaski świadczyły o żywej sympatyi dla czeskiej artystki. Artyści, literaci i wielbiciele sztuki, ofiarowali miłemu gościowi piękny srebrny wieniec, a wszyscy rozstawaliśmy się z nadzieją rychłego może zobaczenia się.

Doznawszy serdecznego przyjęcia, powinna nas panna Pospieszilówna w miłej zachować pamięci i nie wątpimy, że tak będzie.

Na dziś nie pozostaje nam nic innego, jak tylko złożyć naszym czytelnikom życzenia wesołych świąt.

W dniu najpiękniejszej uroczystości Zmartwychwstania, wspomnijcie o tych, którzy służąc wam w jasnej i szarej doli, pragną służyć jak najlepiej, chociaż nie zawsze uczynek może dorównać dobrym chęciom. Ale... w dzień Wielkiejnocy jest obowiązkiem, czy zwyczajem przebaczać wszystkim...

Potrzebujemyż się do tego odwoływać?...

Raz jeszcze wszystkim składamy życzenia: Szczęść Boże!

PRZEGLĄD LITERACKI.

Z chwili szału, fragment dramatyczny, napisał *St. M. Rzętkowski*. Odbitka z "Echa muzycznego". 1885 r.

Jesteśmy w Rzymie na placu publicznym, w czasie karnawału, dawno już temu, bardzo dawno, bo za czasów Rafaela Sanzio... Artystyczna fantazya autora, który pomimo prawdziwego talentu rzadko się przypomina czytelnikom, porwała go od nas daleko, pod inne niebo i w odległe czasy, ażeby módz całą piersią odetchnąć, użyć rozkoszy zabawy, o jakich już dziś ledwo możemy marzyć, lub wypłynąć słowem gorącem, z duszy natchnionej, tak wielkiej, jak dusza Rafaela.

Autor zaczyna fragment rozmową pustą, hulacką tych Włochów wesołych, których fantazya nie odbiegała nigdy, choć pieniądze unikały ich skwapliwie. Prostacy uchodzą ze sceny, ażeby zrobić miejsce panom, wytwornisiom, w których piersiach kipi ta sama żądza zabawy.

Pomiędzy nimi znajduje się Rafael, człowiek szanowany, czczony przez wszystkich Rzymian... ale w życiu powszednim człowiek, jak inni, nie gardzący wesołością, zabawą, a chociażby i zapustną hulanką. Nie byłby Włochem, gdyby myślał i czuł inaczej! Mistrz nad mistrze, gdy wchodzi na scenę, mówi tylko o zabawie, idzie z towarzyszami szukać przygód karnawałowych, idzie z tą pewnością, że kiedy piękną spotkają kobietę, ona podzieli ich ochotę do zabawy i przy stole zaśpiewa:

Szalony, kto życie swe dręczy
Westchnieniem i łzą...
Wszak ono na nitce pajęczej —
Dni nasze szybko mkną.

Szalony, kto pyta co będzie,
Gdy nie wie, co jest —
Że żyjesz, miej tylko na względzie —
Qui tenet, beatus est!

Odłączywszy się od towarzyszy na chwilę, spotyka Rafael piękną dziewczynę, naiwną, która żyła tylko pragnieniem poznania wielkiego mistrza.

Na chwilę powstała w nim myśl pusta. Szał karnawałowy opanował go... ale naiwność, wiara i modlitwa dziewczęcia rozbraja go. Wielka dusza okazuje się piękną i szlachetną, niezdolną do korzystania z niemocy i naiwności.

To punkt kulminacyjny fragmentu. Scena Rafaela z Bianką, skreślona prześlicznie, z wielką znajomością ludzkich serc i namiętności, z zapałem koniecznym w dotknięciu takiej sytuacyi, takiej chwili i takiego bohatera. Zakończenie wesołe, chociaż z domieszką myśli poważnej, głębokiej.

Cały ten fragment napisany lekko, z finezyą artystyczną i tą umiejętnością cieniowania, która jest właściwą prawdziwym talentom twórczym. Drobiazg to, ale piękny, wart czytania i rzetelnego uznania dla autora, którego radzibyśmy zachęcić do częstszego dzielenia się z nami swymi myślami.

Forma w którą Rzętkowski myśl przeobleka jest bez zarzutu.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Do budżetu miasta Warszawy na rok b. niazależnie od sumy 7,340 rs. przeznaczonej na niedzielne szkoły rzemieślniczo, wniesioną została dodatkowo suma 2,650 rs. na kursa wieczorne dla terminatorów, nie mogących znaleźć pomieszczenia w szkołach rzemieślniczych. Kursa wieczorne otwarte zostaną po Wielkiejnocy.

*** W dzień św. Józefa, jeden z solenizantów, artysta malarz, otrzymał z powinszowaniem telegram rymowany, od osoby dowcipnej ale i nieco złośliwej — co często chodzi w parze:

„Żyj pan długo, jak boski naznacza ci przykaz,
Tylko niechaj pomnika nie stawia ci... Dykas."

*** Petersburskie humorystyczne czasopismo „Strekoza", parodiując projekta „Protekcyonistów" i „Samobytników" rossyjskich, mówi, że dla dobra kraju potrzeba koniecznie:

1) Ustanowić cło w brylantach na chmury wchodzące w obręb państwa przez granicę zachodnią.

2) Znieść wszelkie wiatry północno i południowo zachodnie, a w wypadku nieposłuszeństwa, poddawać meteorologów wysokiej karze pieniężnej.

3) Zatrzymać słońce w granicach kraju i zabronić mu zniżać się ku zachodowi.

4) Odkomenderować mrozy do ciepłych krajów i osiedlić je tam na stałe.

I kilka jeszcze podobnych zakazów.

*** Przed parą tygodniami, specyalna komisya wydelegowana przez petersburskie ministeryum wojny, robiła doświadczenia z nowo wynalezionym przyrządem do kierowania balonami. Dotychczasowe rezultaty prób, okazały się zadawalniające; odbywają się dalsze doświadczenia. Wy-

nalazcą przyrządu jest pan Stankiewicz, od dłuższego już czasu zamieszkały w guberni Penzeńskiej; poświęcił on dziewięć lat pracy temu wynalazkowi.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

⁎ Dnia 15 marca r. b., p. Henryk Panzacchi, profesor Coloński, znany literat i publicysta włoski, miał w sali pojezuickiego Collegio Romano, będącego obecnie gmachem liceum, prelekcyą o Adamie Mickiewiczu, w obec nader licznej doborowej publiczności. Dochód z biletów wejścia przeznaczony był na korzyść ofiar trzęsienia ziemi w Hiszpanii, pozbawionych całego mienia i środków do życia.

Prelegent oznajmił zaraz na wstępie, iż dlatego obiera za przedmiot prelekcyi nieśmiertelnego wieszcza polskiego, iż tak Hiszpania jak Polska, na przeciwnych krańcach Europy, były przedmurzem chrześciaństwa, pierwsza przeciw Maurom, druga przeciw Turkom i Tatarom.

Znakomity profesor i poeta, odznaczający się rzadkim darem wymowy, mówił z porywającym zapałem. Potępiał surowo teraźniejszą dążność „sztuki dla sztuki" w poezyi, w literaturze i sztukach plastycznych w ogóle; dowodził, że nie można oddzielać piękna od dobra; że sztuka nie może się zamykać w sobie samej, ale powinna być podniętą do czynu i cnoty, idealizować i podnosić nasz ziemski żywot.

Jako pierwowzór takiej sztuki nie dla siebie istniejącej ale dla wyższego ideału piękna i dobra, podał Adama Mickiewicza, nazywając go poetą wszechludzkim i stawiając na równi z największemi wieszczami wszechludów i czasów. Przytoczył zdania o nim Goethego i pani Sand; zacytował ustępy z „Dziadów", z „Ody do młodości", „Modlitwę pielgrzymów" i bardzo obszernie mówił o „Konradzie Wallenrodzie".

Szkoda tylko, że od Polaków nie zasięgnął rady dla sprostowania niektórych pomyłek, mianowicie co do podania Krymu za miejsce zgonu nieśmiertelnego wieszcza i błędnego wymawiania nazwisk polskich. Sala zapełniona była po brzegi przez dziennikarzy, literatów, ludzi politycznych, senatorów i posłów do parlamentu, oraz wielkiej liczby kobiet z najwyższych i inteligentnych sfer społecznych.

⁎ Wiedeńskie Towarzystwo sztuk pięknych (Kunsterhaus), z początkiem postu urządziło humorystyczną zabawę, przemieniajac swe salony w afrykańskie nadbrzeża, a panie ustrojono w kostiumy egipcyanek, murzynek, angielek i turystek. Piękne wiedenki miały odwagę wystąpić w podzwrotnikowych strojach, dla popularyzowania wiadomości etnograficznych, a było to niemałe poświęcenie, ponieważ musiały poczernić sobie twarze, poprzyczepiać drewniane kolce do nosów i warg co nie mogło korzystnie oddziaływać na ich wdzięki.

Salony w których się przechadzały grupy tej improwizowanej afrykańskiej ludności, były odpowiednio udekorowane. Na ścianach dekoracye i tapety przedstawiające dziewicze lasy, kołyszące się małpy, papugi, majestatyczne brzegi Kongo, a daleko za górami wschodzący księżyc o głowie Bismarka, z trzema promieniami na świecącej się łysinie. W środku sal poustawiane były namioty, tekturowe drzewa, krokodyle, pelikany i przeróżne wybryki rozbujałej wyobraźni wiedeńskich artystów i dekoratorów. Szczególną zwracały uwagę dwie sale: jedna z galeryą obrazów „afrykańskich", druga w której mieściły się zbiory geologiczne podróżnika świeżo powracającego z Kongo. W tej „afrykańskiej galeryi wiele było obrazów prawdziwie humorystycznych, rozkupywano je też chętnie, płacąc i po parę set guldenów, tak że sprzedaż ich przyniosła przeszło 3,000 złr. na rzecz dobroczynnego funduszu wiedeńskich artystów. Najwięcej podobał się obraz, przedstawiający wyścigi sztucznych pruskich junkrów na—hipopotamach i szkic niemieckiej landwery złożonej — z murzynów.

Przez dwa tygodnie wiedeńczycy tłumnie zwiedzali owe afrykańskie krainy, a wynikający ztąd upał w salonach, przyczyniał się do powiększenia złudzenia.

⁎ Na wielkim dorocznym paryzkim konkursie rysunkowo malarskim (tym razem specyalnie portretowym) do którego tylko wyborowi uczniowie znakomitych artystów dopuszczani bywają, na 400 współzawodniczących skończonych już niemal malarzy, szóstą pochwałę otrzymała panna Marya Dulębianka, rodem z Krakowa.

⁎ W Muzeum sztuk przemysłu w Wiedniu, przez parę dni wystawione były kandelabry, które cesarz Franciszek Józef zamówił dla Ojca świętego, z powodu uroczystości oswobodzenia Wiednia od Turków. Kandelabry te mają być wręczone Papieżowi na Wielkanoc. Rysunek dał radzca dworu profesor Storch, z bronzu wykonał je fabrykant Hamosa, a złotemi inkrustacyami ozdobił Lustig. Ma to być prawdziwe dzieło sztuki.

⁎ Mayerhof i Diener wynaleźli przyrząd służący do śledzenia ze stacyi centralnej biegu pociągów na wszystkich liniach, na dość znacznej przestrzeni. Przyrząd ten składa się z okrągłej tarczy ze szkła matowego, na której znajdują się linie drogi i krótkie prostopadłe do nich linie, wyrażające stacye. W miarę biegu pociągu, prąd elektryczny, wychodzący z lokomotywy, porusza na przyrządzie odpowiednie strzałki. Przy pomocy tego przyrządu, jeden urzędnik może ze stacyi centralnej śledzić ruch na wszystkich stacyach i telegrafem ostrzegać zawiadowców, w razie zagrażającego niebezpieczeństwa spotkania się pociągów.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Maryi Korzeniewskiej w Bortnikach. Numer zatracony posłano, należytość za niego wynosi kop. 15 przeznaczone dla ubogich o przysłanie których prosimy.

Pani Anieli Ża. w Górożycach. Prenumeratorowie „Tygodnika" mogą prenumerować Bibliotekę Przyjaciela obecnie wychodzącą z druku, choć samego „Przyjaciela Dzieci" nie prenumerują. Pierwsza serya składa się z czterech powieści historycznych i należytość za nią wynosi na miejscu rs. 1, za przesyłkę pocztową dopłaca się kop. 15. Odpowiedzi w „Przyjacielu Dzieci", które tak zainteresowały panią, stanowią oddział czysto pedagogiczny, prawie wyłącznie nauce moralności i zachęcie do nauki poświęcony. Dzieci w listach swych, najczęściej same siebie oskarżają o różne wady z prośbą o radę na ich poskromienie. Przyjaciel spełnia to chętnie, ale z niezmiernem współczuciem dla małych winowajców i tym sposobem zyskał taką ich dla siebie miłość i zaufanie, że rady jego prawie zawsze wpływ zbawienny wywierają. Stosunkiem tak zdumiewającym, jak się pani wyraża, między redaktorem a jego czytelnikami, rzeczywiście żadne pismo zagranicą pochlubić się nie może.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Марта 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

Opis do N-ru 14.

N. 1. Ubranie do pierwszej komunii.

Pod szeroką, z prostych brytów złożoną spódniczkę, sfałdowaną i wszytą w szeroki kolisty pasek, daje się spodnią spódniczkę w kliny. Zwierzchnią zdobi wstawka 8 cent. szeroka, koronkowa lub cerowana na tiulu, przyszyta do obręba 4 cent. szerokiego, w górze zakończona kilku wązkiemi zakładkami. Stanik bluzkowy zapięty z przodu na kryte haftki, ma plecy gładkie a przody suto przymarszczone przy wykroju szyi i na wcięciu w pasie. Rękawy ozdobione mankietem zaszytym w zakładki i wstawką. Welon muślinowy.

N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną. Krój i plecy na dodatku z formami N. I, fig. 1—7.

Fason ten nadaje się zarówno do materyi jedwabnej jak i do kaszmiru; model odrobiony był z czarnej surah. Wolant z przodu zfałdowany, ma 74 cent. szerokości. Draperya (fig. 6.) układa się z przodu z części *a* i z górnej połowy pierwszego tylnego bryta *b*, zeszytych ze sobą. Upięcie zaczyna się z lewego boku, ściśle sfałdowane i przyczepione na spódnicy w odstępie 20 cent. od paska, z przodu ułożone jest w ząb, a z prawego boku podpięte podług znaków; dalej bryt *b* od gwiazdki do dwukropka zeszyty jest z tylnym brytem *c*. Bryt *c* przy literze *c* skośnie sfałdowany, przyszywa się poniżej paska z tyłu na spódnicy, brzegi wewnętrzne obydwóch w ten sposób powstałych końców, zeszywają się ze sobą, od krzyżyka aż do dołu, brzegi zewnętrzne są podług krzyżyków i punktów przyfałdowane a poprzecznie bryt podpina się w bufę. Co do stanika którego formę dajemy na fig. 1—5, zrobimy uwagę, że części baskiny krajane razem z boczkami, przyfałdowane u góry, podchodzą pod gładko spuszczone patki pleców. Tak boczna baskina jak i patki przy plecach, podszyte są aksamitem, z którego dane są także mankiety i kołnierz stojący. Garnirunek szalowy na staniku, zrobiony z bryta 112 cent. długiego a 56 szerokiego, zmarszczonego w górze do 5, a u dołu do 10 cent., przypięty jest na wcięciu w pasie patką aksamitną 12 cent. długą a 5 cent. szeroką, szpiczasto zakończoną. Dolny koniec upięcia przypina się z prawego boku przy draperyi tylnej.

N. 3. Suknia naszyta srebrną plecionką.

Model sukni odrobionej z oliwkowo-zielonego jedwabnego repsu i takiegoż pluszu, miał przedni i boczne bryty naszyte kilkanaście razy plecionką srebrną, a bryt tylny pokryty plisowanym wolantem. Z lewego boku naszyty był wzdłuż na spódnicy, szeroki pas pluszu, a z prawej strony przednia i tylna draperya schodziły się ze sobą. Z pod niedochodzących się przodów stanika, zakończonych pasami fałdowanemi, wygląda dodana od spodu część pluszowa. Pasek przy wykroju, kołnierzyk wykładany i mankiety, naszyte plecionką srebrną.

N. 4. Kaftanik do negliżowego ubrania. Krój i widok pleców na dodatku z formami N. XVII fig. 63—68.

Niebieski flanelowy kaftanik podszyty materyą niebieską ogarnirowany był 10 cent. szeroką, białą wełnianą koronką, robioną na klockach, i kilku rzędami pasków flanelowych 2 i pół cent. szerokich, wyciętych w zęby 1 cent. szerokie, zachodzące jedne na drugie. Fig. 63 daje formę podszewki pod przody, a form. zwierzchniego materyału, oznaczona jest cienką linijką którą także oznaczone jest wywinięcie ranwersów podług ryc. 4. Podszewkę zapina się oddzielnie na kryte haftki, i przykrywa pasami garnirunku w ząbki, któren u dołu kaftanika ma 7 cent. na pasku przy wykroju szyi 3 cent. szerokości, a szerokość przy rękawach oznaczona jest linijką na formie, fig. 67, na której główne linie oznaczają formę podszewki a linia cienka, przerywana formę materyału zwierzchniego.



N. 1. Ubranie do pierwszej komunii. N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—7. N. 3. Suknia naszywana pletnią.

N. 6—8, 19, 23 i 24. Serwety na stolik.

N. 6, 8 i 24. Serweta ze szlakiem robionym na kanwie siatkowej. Deseń na arkuszu z formami fig. 39.

Na ryc. 8, dajemy w naturalnej wielkości część szlaku do serwety, cerowanego na żółtawej jedwabnej kanwie, cztero nitkową filozelą; dalsza część deseniu i narożnik, pomieszczony jest na fig. 39. Deseń rysuje się na kanwie, kontury obrabia równym ściegiem sznureczkowym, a tło zapełnia ściegiem cerowanym, dawanym w rzędach skośnych, jak to wskazuje próbka roboty ryc. 24. Przy takiem cerowaniu nitki kanwy tworzą regularny deseń w zygzak, któren tym sposobem się układa, że w dwóch rzędach cerowania idących raz w górę i raz na dół, nitki kanwy będące w jednym poprzecznym rzędzie bierzemy na igłę, a dwa następne rzędy zaczynamy nitką wyżej lub niżej. Dla urozmaicenia roboty można w cześciach deseniu zmieniać kierunek ściegów, jak to ma miejsce na ryc. 8. Na modelu tło serwety i obrąb z brzegu było z materyi bordo, a deseń szlaku cerowany był filozelą jasno bordo i żółtą, kontury zaś wszędzie robione żółtą. Tło serwety obrąbia się wązko, a z brzegu serwety daje się obrąb szeroki, podwójny, między któren wpuszcza się brzeg szlaku i przeszywa nieznacznemi ściegami. Brzeg oszywa się koronką złotą, ryc. 5, albo jedwabną robioną na klockach.

N. 7. Serweta ozdobiona starodawnym haftem złotym. Zobaczyć jeden bukiet na ryc. 19 a próbkę roboty na ryc. 23.

Pod nazwą dawnego haftu złotem, podajemy nowy rodzaj roboty, która przy stosunkowo niewielkim wydatku i pracy, wygląda wspaniale. Pod robotę daje się podłożenie z bardzo grubej bawełny na którem haft płaski wykonywa się filozelą cztero-nitkową w kolorze zaśniedziałego złota, przeszywaną w małych odstępach cienką nitką złotą, w sposób wskazany na ryc. 23; co nadaje całości pozór starego złotego haftu. Na tło służyć może plusz, aksamit lub materya jedwabna, na którem rysuje się deseń podkłada pod spód muślin podszewkowy i wszywa w krosna. Podkład przesnuwa się wzdłuż, a haft robi się poprzecznie, prosto lub trochę skośnie. Rodzaje ściegów i użycie pojedyńczej lub podwójnej nitki złotej, dokładnie wskazane są na ryc. 19.

N. 9—10 i ryc. 61 w N-rze 15. Torebka do powieszenia przy łóżku ozdobiona haftem.

Torebkę robi się z kawałka atłasu trzymającego 36 cent. w kwadrat, podszytego sztywnym muślinem, z którego wycina się w środku kwadracik trzymający 26 cent. a w to miejsce wstawia się takiż kawałek płótna w paski domowej roboty. Brzegi atłasu oszywa się grubym sznurem sznelowym, oprócz tego brzeg zewnętrzny oszyty jest koronką kremową, 5 cent. szeroką, wszytą jedwabiem kolorowym i nitką złotą. Tło płócienne zdobią 3 pasy haftu robionego dwoma cieniami kordonkowego jedwabiu zielonego; filozelą w dwóch cieniach bronzową, niebieską i ponsową i złotem. Deseń w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 61 w N-rze 15. Na ryc. 10 pozostałe po brzegach pasy atłasowe zdobią ząbki wyszyte filozelą różową, a na ryc. 9 szlaczki robione jedwabiem kolorowym, ściegiem krzyżowym, w środek w miejsce płótna, wstawiony kwadrat z adamaszku. Przez wywinięcie i zeszycie rogów, nadaje się torebce fason wskazany na ryc. 9 i 10. Kokardy są z wstążki w atłasie, 3 cent. szerokiej.

N. 12—13. Kołnierzyk i mankiety dla chłopczyka. Forma na dodatku z krojami N. XX, fig. 76—78.

Kołnierz i mankiety przykrojone z szafirowego płótna zdobi stębnówka i kotwice haftowane bawełną ponsową.

N. 14—15. Kołnierzyk z kokardą krawatową do rannego ubrania. Forma N. XXI, fig. 79.

Kołnierzyk wszyty w pasek prosty, zapina się z przodu dużą kokardą zrobioną z krawata z materyi niebieskiej w rzucik ponsowy, mającego 100 cent. długości a 14 szerokości.

N. 17—18. Fartuszek dziecinny osłaniający całą sukienkę. Model kroju N. XXV, fig. 83.

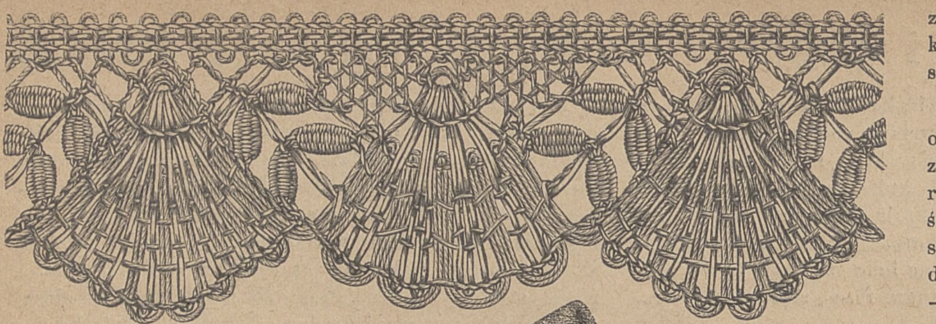
Na fig. 83 dajemy mały model kroju i miary fartuszka przymarszczonego z przodu w górze i na wcięciu w pasie na tasiemki, z których jedną nawłóczy się w pierwsze i trzecie, drugą w drugie i czwarte przeszycie listewki danej od spodu; miejsce przeszycia wskazują cienkie linijki na modelu kroju.

N. 20—21. Sukienka bluzkowa dla małej dziewczynki. Krój na dodatku z formumi N. IX, fig. 32—36.

Spódniczkę 20 cent. długą, a 180 szeroką, marszczy się i przyszywa do stanika bluzkowego, podszytego listewką do ściągania. Sukienkę kaszmirową ciemno-malinowego koloru zdobiły szlaczki robota krzyżową, w których deseń był odkryty, a tło zarobione włóczką jasno-różową.

N. 22. Ubranie z długą żakietą, dla chłopczyka

Do majtek do kolan, ozdobionych, guzikami i szprzączkami złotemi, przypiętych do spodniego stanika, zapinanego z tyłu, przyszyty jest z przodu plastron naszywany



N. 5. Koronka ze złotej nici robiona na klockach. Napięcie deseniu patrz fig. 41 na arkuszu.



N. 6. Serweta ze szlakiem robionym na kanwie siatkowej. Deseń na arkuszu fig. 39. Patrz r. 8 i 24.

N. 7. Serweta ze starożytnym haftem złotym. Patrz ryc. 19 i 23.

złotą plecionką zapełniający długi wykrój żakiety. Kołnierz duży marynarski; brzegi objęte pletnią ponsową.

N. 32. Książka do nabożeństwa, oprawna w skórę z wytłaczanym lub zdzieranem deseniem. Sposób zdzierania powierzchni ze skóry, opisywaliśmy w r. 1883. Okucia i klamra z mosiądzu robotą „laubsäge" deseń na dodatku z krojami fig. 43—43a. Sposób piłowania na mosiądzu był opisany w N. 9 z r. 1884 ryc. 17 i 18.

N. 33. Książka do nabożeństwa oprawna w aksamit. Krzyż i klamry robotą „laubsäge" mogą być pozłocone albo posrebrzone. Deseń do piłowania na dodatku z krajami fig. 43d.

N. 34. Szafa do bielizny, ozdobiona malowaniem na drzewie. Desenie na dodatku z krojami fig. 87—89. Próbka koronki ryc. 52 w N-rze 15.

Szarfa z drzewa olszowego mająca oprócz nóg 180 cent. wysokości. 120 szerokości, (oprócz gzymsu) a 58 cent. głębokości, bejcowana na kolor bronzowy, miała w drzwi i boczne ściany wprawione deski jasne ozdobione malowidłem brunatnem (brun Wan Dyck.) Farbę z proszkowaną rozpuszcza sie w wodzie, a do malowania używa się pendzelka miękkiego. Na fig. 89 dana jest połowa deseniu, któren powtarza się trzy razy na ścianach bocznych; na fig. 87 połowa deseniu umieszczonego nad i pod medalionem, a na fig. 88 rysunek medalionu, któren można zastąpić monogramem. Półki wysłane są płótnem oszytem koronką szydełkową.

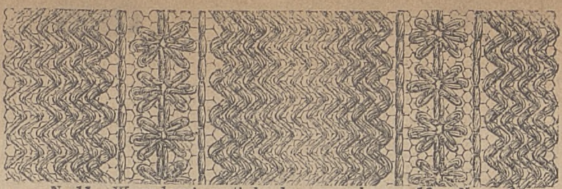


N. 4. Kaftanik do negliżowego ubrania zdobny ząbkami. Krój i plecy na arkuszu N. XVII, fig. 63—68.

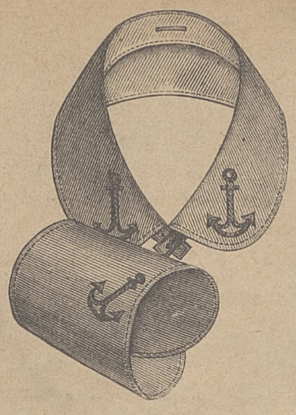


N. 8. Szlak na kanwie siatkowej do serwety ryc. 6. Patrz ryc. 24.

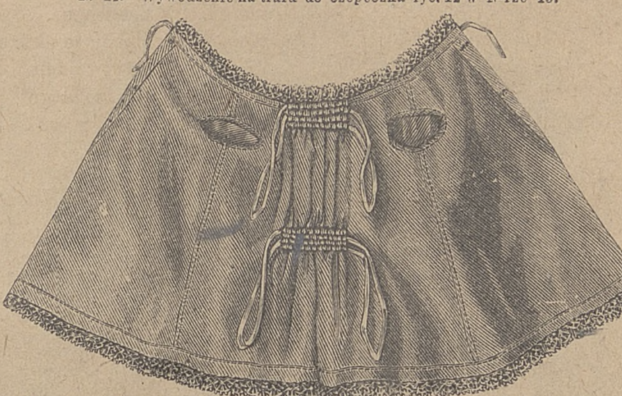
Opis do N-ru 15.



N. 11. Wywodzenie na tiulu do czepeczka ryc. 12 w N-rze 15.



N. 12—13. Kołnierz i mankiety dla chłopca. Krój i deseń na arkuszu. N. XX fig, 76—78.



N. 17. Lewa strona fartuszka dla dziecka. Krój na arknszu N. XXV, fig. 83. Patrz ryc. 18.



N. 14--15. Kołnierzyk i krawatka do rannego ubrania. Krój na arkuszu N. XXI, fig. 79.

N. 4. Kokarda żabotowa z koronki.

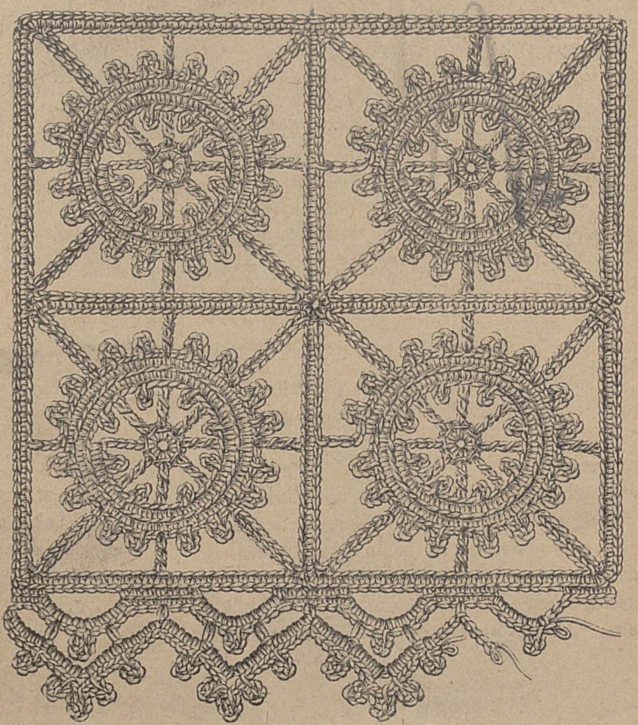
Na końce kokardy potrzeba dwóch kawałków 48 cent. długich, koronki 17 cent. szerokiej, zaplisowanych w pięć głębokich fałd; w środkowe i brzeżne fałdy, wkłada się na 1 cent. wystające u dołu, pukielki z kolorowej 3 cent. szerokiej wstążki w atłasie. Górną kokardę daje się, z dwóch kawałków 40 cent. długich koronki 11 cent. szerokiej, złączonych w środku przepięciem z wstążki.

N. 5. Żabot z materyału koronkowego.

Dwa kawałki tiulu koronkowego 145 cent. szerokie, a 16 cent. długie, układa się na kawałku sztywnego tiulu w ściśle jedna na drugą zachodzące fałdki, z boków składa się końce podwójnie, a u dołu przez nacięcia pomiędzy fałdami, przewłóczy się wstążkę 3 cent. szeroką a 50 cent. długą, której końce złączone są kokardą. Górne upięcie układa się w sposób wskazany na ryc. 5, z dwóch kawałków koronki 8 cent. szerokich a 54 cent. długich, złączonych węzłem z wstążki, która na modelu była różowa welwetowa w paski atłasowe.



N. 9. Torebka bo zawieszenia nad łóżkiem. Patrz ryc. 10.



N. 16. Koronka szydełkowa do bielizny.



N. 10. Torebka do zawieszenia nad łóżkiem. Patrz ryc. 9.

N. 6. Stanik pod suknię.

Kraje się z cienkiego szyrtyngu podług dobrej formy stanika, do głębokiego okrągłego wykroju, dodaje się od spodu przystębnowaną 4 cent. szeroką listewkę, oszytą w górze i naszytą z wierzchu, trzema rzędami koronki szydełkowej, 2 cent. szerokiej. Próbka koronki na ryc. 31 w N-rze 14.



N. 18. Fartuszek dla dziecka. Patrz ryc. 17.

N. 7. Chusteczka z koronki i wstążki.

Fason chusteceki stanowi kawałek wstążki żółtawej „moiré antique" 60 cent. długi, a 3 cent. szeroki, któren w środku zaszywa się w ząb mocno szpiczasty. Kokardę 18 cent. szeroką a 90 cent. długą zaszywa się także w ząb szpiczasty, marszczy i naszywa na wstążce z przodu i z bokow na 18 cent. długości, zwężona skcśnie o 2 i pół cent. Drugi 110 c. długi kawałek koronki tak samo zaszytej w ząb i zmarszczonej naszywa się z przodu, a końce jej wzdłuż w fałdę złożone, pokrywają cały pasek z wstążki, zapięty z tyłu pod małą kokardką z koronki. Przód zdobi, w sposób wskazany na ryc. 7, kokarda i końce z wstążki.

N. 9. Okrycie dła młodej osoby. Plecy i forma na dodatku z krojami N. XIII, fig. 49—51b.

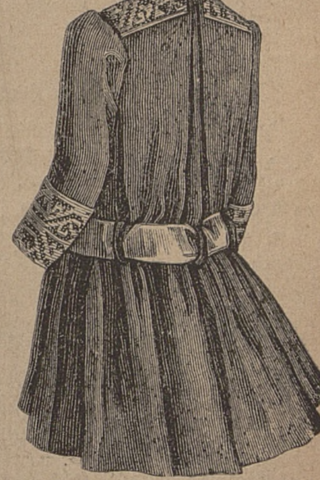
Przody okrycia krają się razem z rękawem i ze spodnią częścią przodu, podług fig. 49. Na ramionaah, od O do P, dopełnia przody część oddzielna, przykrojona podług fig. 50. Górny brzeg rękawa przymarszczony, przyszywa się do wykroju ramienia od krzyżyka przez P do R; plecy zeszywa się z przodami od Q do R i od R przez S do T, nakoniec drugą część przodu podwija się na spód i przyszywa na ramionach od O do gwiazdki. Przy wykroju szyi wszywa się razem obie części przodu od O do dwukropka w stojący pasek. Pod całe okrycie daje się jedwabną podszewkę, a na brzegach przodu i na pasku przy wykroju naszywa się wachlarzowo koronkę.



N. 19. Haft złotem do serwety ryc. 7. Patrz ryc. 23.

N. 12. Czepeczek ranny z denkiem cerowanem na tiulu.

Prób'ka cerowania ryc. 11 w N-rze 13. Forma na dodatku z krojami N. VIII, fig. 31.



N. 20 Sukienka bluzkowa dla dziewczynki. Patrz ryc. 21. Krój na arkuszu N. IX, fig. 32—36.

W łatwej robocie denka na to tylko zwracamy uwagę, że do wyszywania używa się nici (Twift) w sześciu rodzajach cienkości, jak to próbka wskazuje. Podstawę denka stanowi półokrągłe czółko ze sztyweego tiulu do któ-

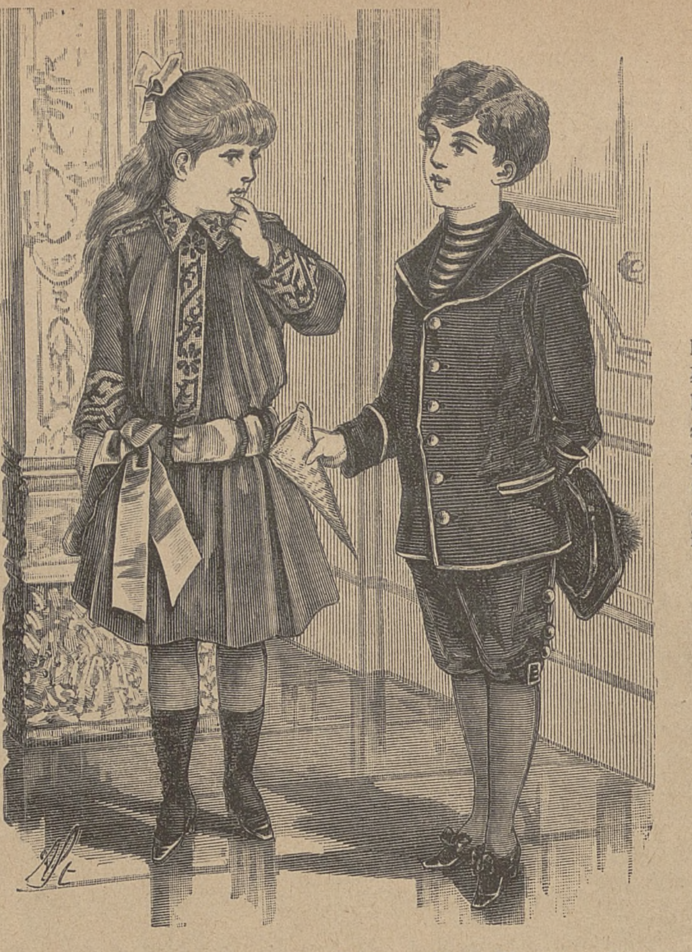
rego połowę formy dajemy na fig. 31. Garnirunek stanowi koronka układana w kontrafałdy i wstążka kolorowa „moire-entique“ 3 cent. szeroka.



N. 23. Wykonanie starożytnego haftu złotem, do ryc. 7.

N. 13. Czepeczek ranny z denkiem aksamitnem haftowanem. Krój N. VII, fig. 29—30.

Do czółka oszytego agremanem i wstążeczką, wszywa się od *w* do *x* przyfałdowane, sztywnym tiulem podszyte denko aksamitne, haftowane w różno-kolorowe owady. Czółko pokrywa skośny, 10 cent. szero-



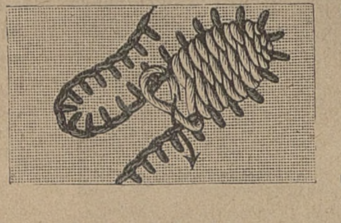
N. 21. Sukienka bluzkowa dla dziewczynki. Patrz ryc. 20. Krój na arkuszu N. IX, fig. 32—36.

N. 22. Ubranie z długą żakietką, dla chłopczyka.



N. 25. Kapotka słomkowa podgarnirowana riuszą z wtążki ottoman i zdobna kwiatami.

ki pasek gładkiego aksamitu, przepinany w lekkie bufki złotemi szpileczkami. Złota koronka służy do garnirunku ładnego czepeczka, którego model był odrobiony z ciemno-ponsowego aksamitu.



N. 30. Wykonanie dziergania perskiego, do ryc. 10 w N-rze 15.

N. 14. Czepeczek z denkiem welonikowem.

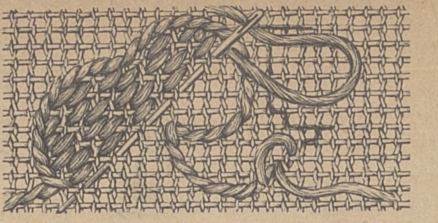
Do czółka prostego mającego 8 cent. środkowej a 3 cent. brzeżnej szerokości, przyszywa się przyfałdowany, prosty górny brzeg welonika, oszytego w koło koronką 6 cent. szeroką, mającego 40 cent. długości, u dołu w ząb do 6 cent. skośnie ściętego. Koło twarzy czółko ogarnirowane jest dwoma rzędami koronki, a na środku przypięta kokarda z wstążki aksamitnej 6 cent. szerokiej, na którą spada koronka od woalika.



N. 32. Książka do nabożeństwa oprawna w safjan z wytłaczanym lub zdzieranym deseniem.

N. 16—46 i 51 do 56. Bielizna, spódniczki i negliże.

Jak co rok na wiosnę tak i teraz bieżący numer poświęcamy głównie bieliźnie i negliżom, chociaż tak w kroju jak i przyozdobieniu żadne ważniejsze nie zachodzą odmiany, wybraliśmy najlepsze i najwięcej używane fasony i dajemy do nich kroje. Co do ozdób to wszelkie rodzaje haftów białych i kolorowych, kratki ażurowe na wyciąganych nitkach, koronki fabryczne lub ręcznie robione, są niezmiennie używane; najwięcej jednak są upowszechnione koronki niciane robione na klockach i szydełkowe z tasiemeczką koronkową lub z mignardisse, do tych ostatnich dajemy ładne próbki w N-rze bieżącym i w numerach poprzedzających z r. b.



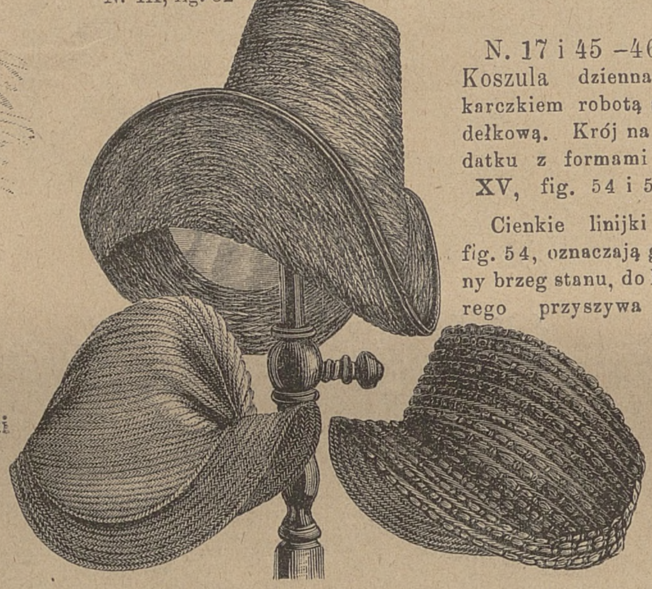
N. 24. Wyszycie na kanwie siatkowej, do ryc. 6 i 8.



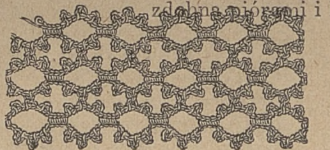
N. 26. Kapotka z aksamitu koloru ivoir i zielonego zdobna piórami i koronką wełnianą.

N. 17 i 45—46. Koszula dzienna z karczkiem robotą szydełkową. Krój na dodatku z formami N. XV, fig. 54 i 58.

Cienkie linijki na fig. 54, oznaczają górny brzeg stanu, do którego przyszywa się



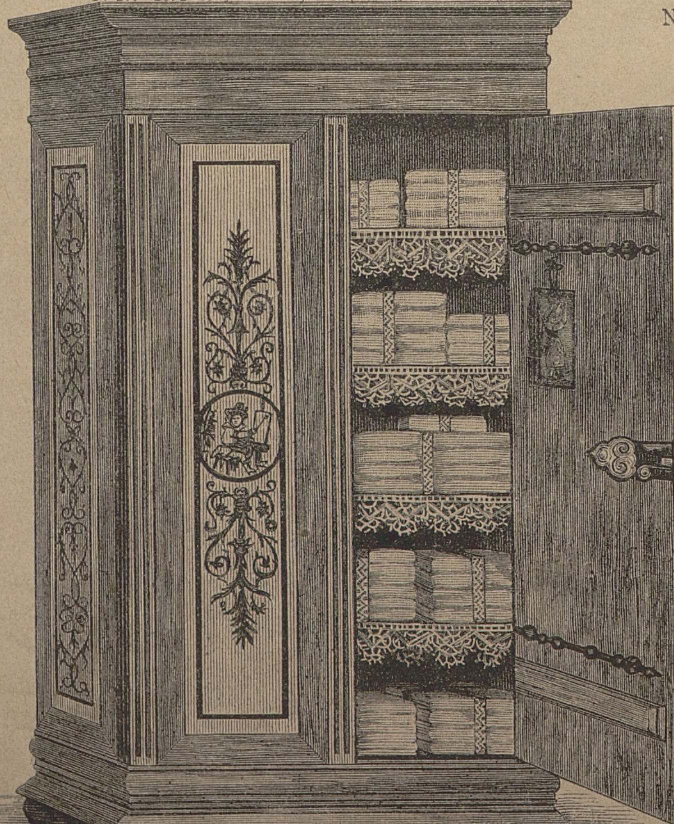
N. 27.—29. Fasony wiosennych kapeluszy z kolorowej słomki.



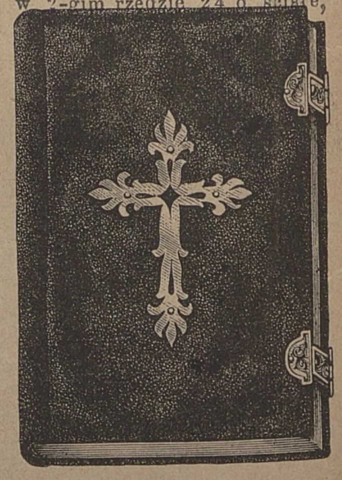
N. 31. Koroneczka szydełkowa.

karczek szydełkowy, podany na ryc. 17. Na ryc. 45 dajemy próbkę naturalnej wielkości roboty karczka prostego do pleców, mającego na modelu 35 cent. długości. Kraczek do przodu robi się w dwóch częściach, jest szerszy, w górze trochę zaokrąglony a od dołu podcięty, robić go więc trzeba podług formy, którą, oprócz górnej koronki, dajemy na fig. 58. Na każden rękawek robi się pasek prosty, 45 cent. długi, a formę szpiczastą u dołu nadaje się przez spojenie jednego brzega poprzecznego z brzegiem górnym podłużnym z drugiej strony. Do karczka przyszywa się rękaw niewidocznemi ściegami. Górną koronkę dodaje się na końcu w koło, gwiazdki robi się oddzielnie, zaczynając kółkiem z 14 o. łańcuszka, obrobionem w pierwszym rzędzie 20 o. ścisłemi, w 2-gim rzędzie 24 o. ścisłe, w 3-cim naprzemian 2 o. ścisłe i ząbek z 5 o. łań., rząd ostatni składa się ze słupków i ząbków z 7 o. łańc. w miejsce pierwszego słupka 3 o. łańcuszka. Następne rozety spajają się ścis. o. łań. z poprzedzającemi przy obrabianiu tego rzędu; nakoniec brzeg obrabia się o. ścis. i pikotami, a w górze przyrabia się koronkę do karczka sposobem dokładnie wskazanym na próbce ryc. 45.

(D. n.)



N. 34. Szafa do bielizny.



N. 33. Książka do nabożeństwa oprawna w aksamit.